

TYGODNIK
WSCHODNI

Biuro prasowe obywatelski
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Relacje

LUBLIN, 19-25 I 1989 R

NR 1

CENA 50 ZŁ

ZACZYNAAMY

7 LISTOPADA 1988 r. podjęta została decyzja o zaprzestaniu wydawania dwutygodnika „Kamena”. Na spotkaniu kierownictwa Zarządu Głównego RSW „Prasa — Książka — Ruch” z kierownictwem Lubelskiego Wydawnictwa Prasowego ustalono, że „ostatni numer czasopisma ukaze się w grudniu”, a „w to miejsce uruchomiony zostanie, począwszy od 1 stycznia 1989 r., tygodnik [...]”.

Do 1 grudnia miał być skompletowany skład osobowy nowej redakcji; faktycznie skompletowany został w pięć dni później. 7 grudnia zespół tygodnika „Relacje” spotkał się i ustalili, co należy zrobić i w imię jakich zasad, aby powstało nowe czasopismo. W miesiąc później skierowaliśmy do druku pierwszy numer „Relacji” — ten właśnie.

Podczas grudniowego spotkania powiedzieliśmy sobie, że nie będziemy analizować przyczyn samolikwidacji „Kamena”, ponieważ to czytelnik powinien powiedzieć, dlaczego kupował pismo niechętnie, a prasoznawca może ustalić przyczyny tej niechęci. Tym samym oddaliśmy trud polemizowania z komentarzami towarzyszącymi powstawaniu „Relacji” i potrudziliśmy się, aby zredagować „Relacji” numer pierwszy oraz zaprogramować kilka kolejnych wydań, szukając wciąż odpowiedzi na pytanie, jak by tu, w Lublinie, redagować pismo ludziom potrzebne.

Czy będziemy potrzebni — czas pokaże. Dziś obiecujemy sobie tyle tylko, że nie powinno zabraknąć nam rozumu, wyobraźni i siły, aby dochować wierności zasadom, jakie przyjęliśmy 7 grudnia ubiegłego roku. Zgodnie orzekliśmy wówczas, że będziemy redagować pismo lokalne, aktualne i odważne. Lokalne niech nie znaczy, że zaściankowe, zamknięte w par-

tykularzu, zobowiązane do oddawania obowiązkowych hołdów każdej dziurze w płocie, bo ona własna jest, więc przez to godna poematu. Aktualne to znaczy uwikłane w spory o polską rzeczywistość, w dialogi o szansach zmarnowanych i zyskanych. Odważne, bo niechże wreszcie wysłuchana i zaprzeczona zostanie gorzka prawda Norwida i Prusa, że my, Polacy, umiemy się kochać lub nienawidzić, lecz nie umiemy się różnić mocno a pięknie.

Artykuł wstępny powinien być wystąpieniem programowym. Mamy program. Spisany na dziesięciu stronach maszynopisu. Mogłbym więc go tu streścić, ogłosić jako deklarację i jako deklarację intencji pozostawić — ku pamięci. Uchylam się od takiego wystąpienia, bo program pisma tygodniowego objawiać się powinien w jego cotygodniowej zawartości — w reportażach, wywiadach i dyskusjach, w artykułach i felietonach, w usłudze recenzyckiej i informacyjnej: we wszystkim, co przekazywać będziemy pod osąd czytelnika. On zdecyduje, czy nasz program jest dobry. Czy mądry jest i wystarczająco atrakcyjny.

Nie objaśniam szerzej tytułu, jaki obraliśmy dla naszego pisma. Zobowiązuje on nas do publikowania relacji (z miasta i województwa, z regionu, kraju i ze świata) oraz do obserwowania relacji zachodzących „pomiędzy” (ludźmi i uznawanymi przez nich wartościami, władzą i społeczeństwem, historią i teraźniejszością, Polską i światem itd.). Nasz podtytuł z kolei — „Tygodnik Wschodni” — zobowiązuje nas do wprowadzenia na łamy problematyki pogranicza: geograficznego, narodowościowego, kulturowego, wyznaniowego... Zrobimy to wkrótce.

Franciszek Piątkowski



Lublin Waldemara Stępnia str. 9.

**W NUMERZE: SFAŁSZOWANA MATURA ● ZABÓJSTWO MILICJANTA
W ŁOSICACH ● MY, SZOCOWIE NIEPOTRZEBNI ● O DWÓCH TAKICH,
CO NAKRYLI „POLMOS” ● „POLMOS” PRZED SĄDEM ● CZY POLSKA
LEŻY W EUROPIE? ● O RYSZARDZIE KAPUŚCIŃSKIM ● O POLSKIEJ
SZKOLE ● JAKA POLSKA, JAKA WŁADZA? ● POETA: RYDZ-ŚMIGŁY
● RECENZJE ● FELIETONY ● INFORMATOR KULTURALNY
● PROGRAM TV**

relacje ZE ŚWIATA

GEORGE BUSH 20 stycznia obejmuje urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jako że nowy lokator Białego Domu (czterdziesty pierwszy z kolei) jest postacią dobrze znaną z politycznej sceny, jej obserwatorzy przewidują, iż kontynuować on będzie dotychczasową politykę wewnętrzną i zagraniczną USA, co dotyczy także stosunków amerykańsko - radzieckich. Oceniając zaś styl pracy nowego prezydenta, przekonani są, iż głębiej, niż to czynił jego poprzednik, wnikać będzie w istotę każdego problemu, zaś w rozwiązaniach, za którymi opowie się, będzie mniej spektakularnej efektywności, którą uwielbiał Reagan, zrezygnując animatorem nastrojów społecznych.

WILLY BRANDT 18 grudnia ub. roku ukończył 75 lat. Honorowy przewodniczący SPD zdystansował się w dniu swoich urodzin od wszelkich uroczystości i wraz ze swą małżonką Brigitte udał się na pustynię Synaj. Jed-

nak, co się odwlecze... Prezydent RFN Richard von Weizsäcker 20 stycznia wyda bankiet na cześć Brandta. Weźmie w nim udział co najmniej siedmiu urzędujących szefów państw i rządów, w tym premier PRL M.F. Rakowski.

LIST OTWARTY DO MICHAŁA GORBACZOWA skierowało sześciu intelektualistów radzieckich: A. Gielman, D. Granin, E. Klimow, R. Sagdiejew i M. Uljanow. Pisząc o dobiegającej końca kampanii sprawozdawczo-wyborczej w partii oraz zapowiedzianych na marzec wyborach deputowanych ludowych, stwierdzają m.in.: „Proces przyciągania zdolnych, utalentowanych ludzi do działalności na kierowniczych stanowiskach, wydaje się, zachodzi powoli, niezdecydowanie i jest hamowany nie tylko przez poszczególnych konserwatywnych działaczy, ale i przez całe sztaby, w których ugruntowała się swego rodzaju „dyktatura przeciętności”. Bez złamania jej — pro-

gnozy pesymistów i sceptyków mogą okazać się słuszne”.

15 LUTEGO upłynie ostateczny termin wycofania wojsk radzieckich z Afganistanu. Dotychczasowy wynik rozmów i rokowań między stroną radziecką a opozycją afgańską zdaje się zapowiadać podział kraju. Wokół Kabulu zgromadziło się już ok. 30 tys. rebeliantów, którzy — jak twierdzą obserwatorzy zachodni — przygotowują się do zaatakowania stolicy po 15 lutym.

POGRZEB CESARZA HIROHITO — co postanowiono na posiedzeniu japońskiego rządu — odbędzie się 24 lutego. Spodziewana jest obecność przedstawicieli ok. 130 państw, co zaowocuje również politycznymi kontaktami. A więc byłby to największy międzynarodowy „szczyt” w ostatnich latach.

BULGARZY — po przeszło trzech dziesięcioleciach — zaprzestali zagłuszania radia „Wolna Europa”. Wcześniej nieco uczyniła to także Czechosłowacja. ZSRR zaprzestał zagłuszać „Radio Liberty” w listopadzie 1988.

— nic (a dotyczy to wszystkich obszarów życia) nie jest przesądzone na zawsze;

— do końca należy rozliczyć się z pozostałościami stalinizmu;

— trzeba wrócić do myśli politycznej PPS i nurtu demokratycznego w PPR;

— socjalizm, rozumiany jako ład społeczny, nie jest ze swej istoty sprzeczny z religią i religijnością;

— zbyt dużo było w partii gadulstwa i biurokracji, niepotrzebnie dublowano administrację państwową;

— akceptowane są eksperymenty z różnymi rozwiązaniami organizacyjnymi w partii, łącznie z więziami poziomymi między organizacjami partyjnymi, uważanymi ongiś za „rozbiłackie”, co szczególnie dobrze pamięta się w Lublinie.

W tym duchu dyskutowano m.in. podczas niedawnych posiedzeń plenarnych KW PZPR w Białej Podlaskiej i Lublinie. Szczegóły znalazły się w prasie codziennej.

i innych opowiadań” w „Czytelniku”. Książka ta znaleźć się ma na rynku jeszcze w tym kwartale. Kilka z tych opowiadań zaprezentowano w ostatnich dniach w I programie PR. Z tym, że autorką ich — jak wynikało z radiowej zapowiedzi — była Maria Szczepkowska.

WIOSKA DZIECIECIA — druga po bilgorajskiej — powstaje w Krasniku. Rozpoczęta została budowa pierwszego z piętnastu domów.

ROZPOCZĄŁ SIĘ już wyścig po tytuł Miss Polonia '89. Organizatorzy lubelskich eliminacji, ALMA ART, zaprosili pretendenci na pierwsze eliminacje 14 stycznia do kawiarni „Arkady”. Te z pań, które dopiero teraz nabrały przekonania, że warto spróbować, mają jeszcze szansę stanąć do rywalizacji 21 bm. Oczekiwani są także sponsorzy. Wejście „do gry” — minimum 100 tys. zł. za co liczyć można na dobrą reklamę. Szczegóły — w Alma Arcie, ul. I Armii WP 5, tel. 292-31.

KSIAZKI DLA LWOWA

„Tygodnik Zamojski” zwrócił się do swoich czytelników z propozycją ufundowania bibliotek dwu polskim szkołom, istniejącym we Lwowie. Ten serdeczny apel podejmuje i nasza redakcja. Zwracamy się przeto do wszystkich czytających te słowa o Wasze wsparcie — rzeczowe (książki) lub finansowe.

Pragnących przekazać książki prosimy o to, by były one nowe lub w b. dobrym stanie i najlepiej z następujących dziedzin: polska klasyka, biografie wielkich Polaków, dzieje Polski, literatura dla dzieci i młodzieży, zbiory polskich pieśni, słowniki j. polskiego, różne wydania encyklopedyczne, albumy sztuki polskiej. Mieszkańcom Lublina i wszystkim tym, którzy swoje dary chcieliby zostawić w naszej redakcji, podajemy adres: ul. Skłodowskiej 2, 20-950 Lublin (w godz. 9-15).

Akcję tę wesprzeć można również, dokonując dowolnej wpłaty na konto: BDK/I Oddział w Zamościu 339403-10937-132 z dopiskiem Społeczny Komitet Akcji „Książki dla Lwowa”.

(z)

relacje Z KRAJU

„GRUNTOWNA REFORMA POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ” — tak brzmi pierwsze zdanie z tego ogłoszonego przez Biuro Polityczne przed X Plenum KC. Pierwsza część debaty odbyła się w grudniu, druga część (16-17 bm.) rozpoczyna się w momencie, gdy słowa te podajemy do druku. Do rezultatów partyjnej dyskusji wracać będziemy na naszych łamach. Dziś natomiast sygnalizujemy niektóre z najważniejszych dla kraju i partii problemów:

— wbrew wielkim partyjnym i państwowym akcjom (II etap reformy, przegląd struktur i atestacja stanowisk, walka o odnowę moralną) pogłębiał się w ostatnich latach kryzys gospodarczy, rosło niezadowolenie społeczne, czego rezultatem była ubiegłoroczna fala strajków;

— w porównaniu z 1980 r. partia straciła ponad milion swoich członków. Choć z nazwy jest robotniczą, najliczniejszą grupą (51,7 proc.) są inteligenci, a ściślej — osoby ze stanowisk kierowniczych; robotników jest 38 proc. (najmniej w historii PZPR), a chłopów — 9 proc. Do PZPR należy tylko co czterdziesty piąty obywatel w wieku 18-29 lat, średnia wieku członka partii wynosi 46,1 lat.

Sformułowania zawarte w tezach, przebieg licznych, prowadzonych przy różnych okazjach dyskusji, wreszcie konkretne decyzje zdają się przekonywać, iż w partii kończy się „okres застоju”. Wymierną postać zaczynają otrzyskiwać — mające jednak swoich przeciwników — przekonania, że:

relacje Z REGIONU

PROTEST PRZECIWKO BUDOWIE W POLSCE ELEKTROWNI ATOMOWYCH dobiegał — jak dotąd — przede wszystkim z łamów prasy, radia. Młodzi ludzie z „federacji zielonych” zdecydowali się (po uzyskaniu stosownej zgody) wyjść na ulicę, a ściślej — na lubelskie Podzamcze. Ulotki, hasła pisane i skandowane, wspomagane biciem w bębny, głośniły: „Bez atomu w naszym domu”, „Precz z elektrowniami atomowymi”, „Lepiej dzisiaj być aktywnym niż jutro radioaktywnym”... Zapowiadane są dalsze manifestacje w Lublinie oraz „marsz wielkanocny” do Kazimierza, które to miasto — gdyby plany doczekały się realizacji — sasiadowałoby z elektrownią atomową w Chotczy. Przy tej okazji dowiedzieliśmy się, że lubelscy „zieloni” zamierzeli złożyć w gminie Samokłęski (woj. lubelskie) „wioskę ekologiczną”. Odwiedzimy ich.

ZARÓWNO W PUNKTACH SKUPU ZYWCA, jak i zakładach mięsnych w początkach stycznia dwojono się i trojono. W tych pierwszych, by zdążyć z opróżnianiem chłopskich fur czy traktorów, w zakładach zaś — by nie opóźnić uboju i przerobu surowca. Ale raczej na cud nie zanosi się. Rolnicy, podobno, liczyli na wyższe ceny z początkiem roku, jak też — po zniesieniu państwowego monopolu — na nabywców z bardziej wycpanym portfelem. Gdyby okazać się miało, że stwierdzenie to jest insynuacją — z radością odszczekamy.

WOJEWODA LUBELSKI skierował do prezesa Rady Ministrów wniosek o odwołanie ze stanowiska wicewojewody Zdzisława Słotwińskiego za brak należytego nadzoru nad budownictwem.

NA ZEBRANIU sprawozdawczo-wyborczym Lubelskiego Oddziału ZLP (14 bm.) wybrano prezesem Zarządu Oddziału — Henryka Pająka. Po 10-letniej przerwie powrócił on do władzy (lubelskich literatów).

70 LAT TEMU powstała w Polsce

Państwowa Inspekcja Pracy. Z materiałów zgromadzonych przez Okręgowego Inspektora Pracy w Lublinie wynika, że unormowania prawne to my mamy wzorcowe, fatalną natomiast organizację pracy, lekceważący stosunek do dyscypliny oraz upodobanie do stosowania nie sprawdzonych do końca technologii. Po stronie strat, nie licząc już zmarnowanych złotych, ani nawet uszkodzeń ciała, zapisano: 50 śmiertelnych wypadków w regionie w 1987 r. i 46 w roku minionym.

PUBLICZNOŚĆ II Ogólnopolskiego Przeglądu Spektakli Kameralnych pn. „Jesień teatralna” miała swoją satysfakcję, zasiadając na widowni. Organizatorzy (spod znaku Teatru Studyjnego) zadbałi również o satysfakcję wykonawców najlepszych spektakli. Korzystając z pomocy jury, pod przewodnictwem Jerzego Jasińskiego, przyznali nagrody: zespołową — autorom i wykonawcom przedstawienia „Nominatae Filiae” w reż. Zofii Kalińskiej, aktorską — Gabrieli Kownackiej za rolę w „Edukacji Rity” i Markowi Kondratowi za rolę w „Opowiadaniu o ZOO”. A przy okazji: oczekujących na przedstawienia w Teatrze Studyjnym informujemy, że teatr ten, który sprawił tyle miłych niespodzianek, pozostaje dziś bezdomnym. Wkrótce szczegóły.

URODZIŁA SIĘ w 1919 r. w Wilnie, po odmowie przyjęcia obywatelstwa radzieckiego trafiła do łagrów, po wojnie zamieszkała w Lublinie, gdzie została studentką prof. Kleina, a z początkiem lat 50. podjęła pracę w „Sztandarze Ludu”. Tak wygląda najkrótszy życiorys zmarłej przed dwoma laty Marii Szczepowskiej. Jest ona autorką niezwykłych opowiadań lagrowych, które za jej życia — nie licząc rzadkich publikacji w prasie — nie mogły ukazać się w formie książkowej. Dzięki uporowi grona przyjaciół, ale przede wszystkim siostry autorki, popularnej w Lublinie Ireny Szczepowskiej, wykolatano druk „Sosenki

-NIGDY nie chodziłem za nauczycielami, nie prosiłem o lepszy stopień dla córki. Tym razem straciłem zdrowy rozsądek. Poszedłem do pani dyrektor i zapytałem, czy jest jakaś możliwość, żeby poprawić ocenę na świadectwie. Czuję się odpowiedzialny za to, co zrobiłem. I za ludzi, których w to wplątałem — mówi ojciec Anny, znany lubelski lekarz.

Anna jest absolwentką I LO im. Stanisława Staszica w Lublinie, studentką pierwszego roku Wydziału Lekarskiego AM. Jej dwa świadectwa maturalne — to prawdziwe i to fałszywe — leżą w Prokuraturze Rejonowej. Jako dowód przestępstwa.

Najpierw był egzamin. 996 kandydatów walczyło o indeks. Wśród nich Anna. Bez powodzenia. Uzyskała 93 punkty. O jeden za mało, żeby zostać studentką medycyny. Ustalono, że indeks otrzymają ci, którzy sforsują poprzeczkę 94 punktów. Zasada ta obowiązywała we wszystkich uczelniach medycznych w kraju.

26 lipca Anna napisała odwołanie, w którym prosiła Uczelnianą Komisję Rekrutacyjną o ponowne rozważenie sprawy przyjęcia jej na pierwszy rok. „Wyjątkowe zdenerwowanie egzaminem (tak dużo po raz pierwszy w życiu) — pisała — miało niewątpliwie wpływ na wynik. Zdenerwowanie wynikało nie tylko z rangi egzaminu, ale w części spowodowane było usytuowaniem mojej ławki w pierwszym dniu egzaminu obok bardzo często otwieranych drzwi [...]”. Komisja nie przychyliła się do prośby kandydatki i 31 sierpnia dziekanat odesłał Annie jej dokumenty do domu.

17 września teczka Anny ponownie znalazła się w dziekanacie. Wraz z nią drugie odwołanie: „W związku z uzyskaniem informacji w KOiW odnośnie naliczania punktów dodatkowych — za ocenę bardzo dobre na świadectwie dojrzałości, proszę o ponowne rozpatrzenie i przyznanie mi punktu dodatkowego za ocenę bardzo dobrą z języka angielskiego. Wydziałowa Komisja Rekrutacyjna nie przyznała mi punktu za ocenę bardzo dobrą, uzyskaną jako ocenę końcową w klasie czwartej, uzasadniając to tym, że na egzaminie dojrzałości otrzymałam z tego przedmiotu ocenę tylko dobrą [...]”.

Argument był jasny. Pismo okólne, ustalające, że premiuje się punktem również końcową ocenę bardzo dobrą z języka obcego, dotarło do AM już po egzaminach. Więc komisja rekrutacyjna raz jeszcze przyjrzała się świadectwu Anny. Uznała piątkę z angielskiego i doliczyła ten jeden brakujący punkt. Punkt zrobił swoje. Anna została szczęśliwą studentką. Ale szczęście trwało krótko.

25 października do Ministerstwa Edukacji Narodowej, do samego ministra Fisiaka przyszedł list:

„Korupcja prominentów w PRL-u znana jest od czasów II wojny światowej i jak dotychczas nie podnosi się

DZIECI Marka Panasiuka i dzieci Jerzego Bieleniewicza mają razem dziesięć lat. Jest ich czworo. Odebrano im dzieciństwo. Prawdopodobnie na zawsze. Jedne będą przeżywać dramat sieroctwa, drugie — nosić stygmat dzieci zabójcy. Być może wkrótce — także sierot, jeśli sprawiedliwość da posłuch „głosowi ludu”. W miniony piątek, 13 stycznia w Łosicach odbywała się wizja lokalna mająca odzwierciedlać, jak doszło do zabójstwa Panasiuka przez Bieleniewicza. Towarzyszył jej kilkusetosobowy tłum, z którego dawało się słyszeć: „Na hak z nim!”, „Dać mu «czapkę i spokój!”, „Ita. Gdyby nie obecność ZOMO, mogłoby dojść do samosądu.”

Darujcie państwo, ale ja nie wiem, czy lincz przyniosłby rzeczywiście spokój. Jaki spokój? Dlatego siadam do pisania, dlatego, po raz nie wiem który, cofam taśmę magnetowidową i wpatruję się w filmowy zapis wizji lokalnej (za zgodą Prokuratury Wojewódzkiej w Białej Podlaskiej).

*

Wydarzenia 4 stycznia br. oraz to, co działo się do siódmego bieżącego miesiąca, wniosły w monotonię sennego zimowego życia Łosic potężną dawkę emocji. Zabójstwo plutonowego Panasiuka przez rzeźnika Bieleniewicza przyniosło temat do najróżniejszych domysłów, konfiguracji myślowych i opinii o charakterze wykraczającym poza samo zdarzenie.

Jan Wasiluk, rolnik, uczestnik pogrzebu milicjanta w dniu 7 stycznia:

Sfałszowane świadectwo ze „Staszica”

tego problemu nawet w rozmowach okrągłego stołu, oczekując, że mechanizmy triady reformy (polityka, stosunki społeczne, gospodarka) zlikwidują tę straszną chorobę. Dla nas istotne są postawy ludzi, którzy obecnie podejmują ster władzy w Polsce, również w Edukacji. Sprawdzianem postawy Pana Profesora jako Ministra Edukacji będzie rozstrzygnięcie przytoczonej poniżej konkretnej sprawy.

Córka [...], absolwentka I LO im. St. Staszica w Lublinie, nie została przyjęta na Wydział Lekarski AM w Lublinie. Zabrakło niewielu punktów. Wycofano świadectwo dojrzałości z AM, poprawiono je w dyrekcji I LO, wzrosła liczba punktów, w drodze odwołania błąd naprawiono i zainteresowana została studentką AM. Autor (autorzy?) dodają jeszcze: „Brak reakcji ze strony Pana Ministra skłonił nas do przedstawienia tej i innych spraw opinii publicznej kanałami nam dostępnymi”. Podpis: „ODN »Oświata« (Ośrodek Dokumentacji Nadużyć »Oświata«)”. Minister zareagował, list przekazano do kuratorium z poleceniem wyjaśnienia.

7 grudnia odwiedziła szkołę komisja, aby sprawę zbadać. Przedstawicielka KOiW udziela mi skąpych informacji: — Stwierdziłam fakt wydania drugiego świadectwa. Ale nie udowodniłam, że wydane było z jakichś względów.

Owe względy ujawniły się dopiero w czasie oglądania obu świadectw. Konfrontacja dokumentów nie była zbyt pracochłonna: na pierwszym, anulowanym dokumencie w rubryce język angielski widniała trójka, na drugim, tym, które oglądała komisja rekrutacyjna rozpatrująca odwołania — zamiast trójki znalazła się piątka. Różnica oczywista. Więc komisja z kuratorium zażądała dodatkowych dokumentów: dziennika lekcyjnego i arkusza ocen. I tu zaskoczenie: w dzienniku brakowało dwóch kartek — jednej z ocenami z języka angielskiego i drugiej z podsumowaniem końcowych stopni. Zagiął również arkusz ocen Anny. Fakt ten postawił komisję przed jeszcze jednym pytaniem: kto mógł wejść do gabinetu dyrektorki i wydrzeć te brakujące kartki? Odpowiedzi na to pytanie — jak dotychczas — nie ma.

— Klucz do gabinetu wisi na ścianie w sekretariacie, więc każdy po południu mógł wejść — usłyszałam w szkole.

Sprawą fałszerstwa zajęła się wkrótce komisja dyscyplinarna, złożona m. in. z nauczycieli o nieskazitelnym postawie moralnej i autorytecie. 9 grudnia władze oświatowe zawiesiły dyrektorkę szkoły w czynnościach. Jej obowiązki przejął dotychczasowy wicedyrektor. Nauczyciele — wychowawczynie i anglista — bez których udziału nie

powstałoby drugie świadectwo, pracują nadal.

— Decyzja o zawieszeniu dyrektorki zaszokowała nas — mówi przewodnicząca szkolnego ogniska ZNP. — Zarówno związek, jak i POP. Wszystkich. Nie wierzyłam, że coś takiego mogło się w naszej szkole zdarzyć. Biorąc pod uwagę charakter pani dyrektor. Wymagająca, sumienna, odpowiedzialna. Chodzące przepisy i regulaminy. Ale też z ludzkim podejściem do drugiego człowieka. Pamiętam, jak ją wybieraaliśmy, wtedy, w osiemdziesiątym pierwszym. W tych ciężkich czasach. Wygrała w tajnym głosowaniu. Ale nie chciała przyjąć funkcji. Więc ją przekonał i w końcu uległa. Grono było podzielone, skłócone, a ona jakoś potrafiła je scalać.

Dziś grono nie piętnuje. Grono współczuje.

— Ktoś, kto wykradł te kartki z dziennika, to zwyczajny parszywiec.

PUNKT

Ewa Czerwińska

Jak można było to dyrektorce zrobić?! — oburza się przewodnicząca ogniska związkowego w szkole.

— A fakt, że dyrektorka i dwaj nauczyciele tej szkoły dokonali przestępstwa, pani nie oburza?

— Wie pani... To dla dobra dziecka.

— I pani jest „za”.

— No nie. Aż tak się poświęcać, bez hamulców, nie można.

— Nasi nauczyciele chcą o całej sprawie jak najszybciej zapomnieć. Szkoła ma renomę, ósme miejsce w kraju za osiągnięcia... Ten przykry fakt rzutuje na wszystkich — mówi wicedyrektor.

Rzutuje. Więc lepiej nie pamiętać. Wygodniej. Lojalniej. Też dla dobra. Własnego. No i dyrektorki. Rozmowy z nią nie będzie. Dwukrotnie odmawia. Jest chora, intensywnie się leczy, nie chce się denerwować. Anglista także się nie zgadza na spotkanie ze mną. Nie widzi sensu. Sens widzi wychowawczynie Anny.

— Proszę panią jak kobieta kobietę... — płacze. — Jeszcze za wcześnie, żeby o tym rozmawiać... Przeżywam gehennę, bo nie można stawić całego mojego życia na jednej szali, a na drugiej — tę jedną skazę. Za jeden odruch serca muszę płacić tak wysoką cenę...

Cena jest wysoka. Rachunek wystawi prawo. A prawo przecież serca nie ma.

Szkolna sekretarka opowiada o faktach:

— To było któregoś dnia we wrześniu. Przyszła pani dyrektor i mówi, żeby wydać jej czysty blankiet świadectwa, bo jest pomyłka w dacie urodzenia jednej z absolwentek. Więc wydałam. Po jakiejś godzinie wychowawczynie tej absolwentki przyniosła mi anulowane świadectwo. Zatrzymałam je, bo to druk ścisłego zarachowania. Ze wszystkich świadectw — tych czystych i tych anulowanych oraz puli przeznaczonej na duplikaty — muszę się do końca roku wyliczyć przed kuratorium. Tego świadectwa nie wpisałam do rejestru, bo nie widziałam powodu. W zamian za czysty blankiet niemal od razu dostałam anulowane świadectwo.

W szkolnej praktyce zdarza się anulowanie świadectw. Nauczyciel pomylił się, wpisze coś nie w tej rubryce i trzeba ponownie sporządzić dokument. Zwłaszcza jeśli przed zakończeniem roku wypisuje się tego sporo. Zdarza się też, że duplikaty zagubionych dokumentów wypisuje się w czasie roku szkolnego. I nikogo to nie dziwi.

Młodzież też się nie dziwi, gdy pytam o ocenę wydarzenia:

— Nikt nam o nim oficjalnie nie zakomunikował, a plotek powtarzać nie będziemy — oświadczają przedstawiciele klas trzecich „Staszica”. Trudno. No to może o uczciwości. Tej na co dzień.

— Powinna być po obu stronach katedry — mówią. — Uczciwość nauczyciela objawia się w wiedzy, dobrze prowadzonej lekcji, bez czytania z kartek, bez gaszenia naszych dyskusji, bo to niepotrzebne filozofowanie. W oddawaniu naszych klasówek po tygodniu, a nie po miesiącu, co jest lekceważeniem naszej pracy. To banał, ale chciałoby się, żeby nauczyciele lubili jednak swoją pracę. To nas zobowiązuje.

— Do czego?

— Też do uczciwości. Do tego, żeby na przykład otwarcie przyznać się, że się nie odrobiło lekcji. Bez strachu. Są jeszcze indywidualne nastawienia. Niekórych przedmiotów uczymy się, bo są nam potrzebne, a inne bierzemy na przetrwanie. Niemożliwe, żeby przykładać się jednako do wszystkich.

— A potem chcecie, żeby nauczyciel podciągnął wam jednak ten stopień...

— Jeśli podciąga na taki stopień, jaki chcielibyśmy mieć, to fajnie. Ale z drugiej strony jakoś głupio. Coś w rodzaju niespełnionego obowiązku. Ale pewnie nie wszyscy tak myślą. Fakt, że naciąganie stopni nie jest zjawiskiem powszechnym. Częściej uczeń czuje się niedowartościowany z powodu oceny nauczyciela.

— Jak dalece — waszym zdaniem — nauczyciel może pójść na rękę uczniowi?

— Stopień to nie jest sprawa życia i śmierci. Chyba lepiej żyć ze świadomością, że coś jest uczciwie. Świat dorosłych temu przeczy. Ludzie kombinują, dążą do celu za wszelką cenę, po trupach. Gonią za pieniądzem. Liczy się mieć, a nie być.

— Dlaczego tak jest?

— Bo warunki, w jakich żyjemy, do tego zmuszają. Wszystko się załatwia, bo niewiele można uczciwą drogą. I dlatego ludzie łamią normy.

— Wy będziecie inni?

— W interesie społecznym leży stworzenie takich warunków, żeby te normy nie były łamane. A jacy będziemy — to się okaże. Każdy z nas pójdzie swoją drogą.

Anna bardzo chciała studiować. Więc żeby być, musiała najpierw mieć. Ten indeks.

— Poszedłem do pani dyrektor i zapytałem, czy jest jakaś możliwość, żeby poprawić ocenę na świadectwie — powtarza ojciec Anny. — Przyszedłem następnego dnia i usłyszałem, że jeśli zgodzi się wychowawczynie i anglista, to tak. Zostawiłem świadectwo, anglista miał nanieść poprawki w dzienniku i arkuszu ocen. Potem odebrałem drugie. Ale mogę przysiąc na zdrowie moje i moich dzieci, że w grę nie wchodziła żadna łapówka.

— A co?

— Znałem panią dyrektor. Byłem w komisji rodzicielskiej, miałem też wykłady dla młodzieży tej szkoły... Pani dyrektor jest poważnie chora, więc po prostu pomogłem jej w dojeździe do dobrych lekarzy. To wszystko.

— Sądzi pan, że w tym układzie nie mogła odmówić?

— Przyszedłem i zapytałem. To ja pierwszy straciłem zdrowy rozsądek. Czuję się odpowiedzialny za tę kobietę. A co do układów, to bez nich o wiele trudniej żyć. Ludzie mówią, że jestem prominentem. A ja właściwie niczego wielkiego w życiu się nie dorobiłem. Nie mam ani działki nad jeziorem, ani daczki. Mieszkam w czterdziestu dziewięciu metrach kwadratowych, w bloku...

— Panie doktorze, a co by się stało, gdyby córka nie dostała się na te studia i zdawała, jak zresztą wielu innych, za rok?

— Przez ten rok wiele by zapomniała. Szkoda mi było. Uczyla się solidnie. Brała korepetycje. Dziewięć godzin tygodniowo... Dlaczego to zrobiłem? Chciałem dobrze dla swojego dziecka.

Anna niewiele mi powie. Liczy się z tym, że ją relegują z uczelni. Ma jednak wiele nadziei. A sprawa ze świadectwem zaskoczyła ją. Od pierwszego do siedemnastego września była z ciotką w Jugosławii. Po powrocie do Lublina podpisała tylko odwołanie, które wcześniej przygotowała matka. Dziewczyna nad niczym się wtedy nie zastanawiała. Najważniejszy był ten punkt.

KRÓTKI TEKST O ZABIJANIU

Waldemar Piasecki

— Naród przyszedł na tę, panie, ostatnią drogę Panasiuka, ale się zadziwił. I generalnie, i książkowiec go odprawdzali. Znaczący się władza może być przy Bogu i Bóg przy władzy — gadają. Bo i — po prawdzie — czy to co złego, jak milicjant się pomodlił w niedzielę z rana, a pod wieczór złapie złodzieja albo pijanego jakiego na traktorze? Czy Pan Bóg uszy sobie zatykał na tę salwę milicji nad grobem kolegi?

Tak ocenia kwestie ostateczne stary Podlasiak. Zaś książkowiec Henryk Rzeszotek z Łosic patrzy na to tak: „Żal człowieka, był spokojny, na poziomie, dobry ojciec i mąż. A pogrzyb? Cóż, jest to chyba znak czasu. Jeżeli ma być w Polsce porozumienie, to musi być i zrozumienie. W służbie i ludziom, i Bogu nie ma żadnej sprzeczności”. I jeden i drugi zgodni są co do motywu tragedii („Woda, wszystko, ta cholerna woda!”).

★

O godzinie 10.05, 13 stycznia Jerzy Bieleniewicz znów znajduje się przed restauracją „Pod Kłosem”. Prawą ręką ma połączoną kajdankami z lewą ręką potężnie zbudowanego funkcjonariusza ZOMO. Ubrany w zniszczoną kurtkę ortalionową, byle jakie spodnie i tan-

detną czerwoną czapkę z daszkiem. Jest chudy, a nieogolona twarz czyni jego postać jeszcze bardziej mizerną. Prowadzący wizję porucznik Lech Ziolkowski z białkopodlaskiego WUSW odczytuje standardową formułę o sposobie rejestracji i wymienia parametry sprzętu wideo, klasę kasety, informuje, kto będzie pozorował Bieleniewicza i Panasiuka. Scenariusz wizji i użyte do niej środki zdają się kontrastować z prozaicznością Bieleniewicza. Niespełna trzydziestoletni rzeźnik z Łysowa w gminie Przesmyki „ciągnie” swoim śladem ekipę WUSW, Prokuratury Wojewódzkiej, siły ZOMO, a także pazernych na widowisko gapiów.

Więc pokazuje, jak wchodził do lokalu, a potem przy którym siedział stoliku. Z kim. Co pili i ile. Czym zagryzali. Wreszcie o tym, jak przypomniał sobie, że w portierni rzeźni GS zostawił zakupy, które miał przynieść do domu. Postanowił wyjść. Wyszedł. Przy drzwiach stał rower. Rower był do jeżdżenia. Bieleniewicz potrzebował jechać. Wsiadł. Pojechał. W tym czasie wyszedł z restauracji właściciel pojazdu. Dostrzegł oddalającego się. Wkurzył się i poszedł na milicję. Powiedział, jak i co. W

RUSW był pod ręką UAZ, w którym siedział plutonowy Panasiuk. Podjęto decyzję, że nie czekając na drugiego członka patrolu (był na kolacji), milicjant i poszkodowany ruszą za Bieleniewiczem. Wsiadli. Pojechali.

★

Godzina 10.37. Wizja przeniosła się już w kierunku Niemojek. Drogą, którą jechał rowerem Bieleniewicz 4 stycznia. Szosa jest mokra. Odbijają się w niej pulsujące światła sygnalizacyjne milicyjnych pojazdów. Wzrostł pobocza, po obu stronach, stoją rozstawieni co kilka metrów ZOMO-wcy. Teraz centralnym elementem scenografii staje się rower-składak, udający rower Zbigniewa Domosuda. Przez ramę przewieszona jest siatka, w której Bieleniewicz wiózł dwa litry mleka pełnego i dwa serki homogenizowane (nazwy tej nie potrafi, mimo kilku prób wypowiedzieć poprawnie). Bohater wizji pokazuje, z której strony UAZ zjechał drogę, a kierowca dokładnie wypełnia wskazanie. Sytuacja najwyraźniej żenuje Bieleniewicza. Nie sprawia wrażenia człowieka, który byłby w życiu nawykły do dyrygowania.

Kiedy więc wtedy nie może jechać

dalej, łapie z rąk siatkę z zakupami i ucieka w pole. Trudno powiezieć, dlaczego biegnie z zakupami, które przecież nie ułatwiają ucieczki. Po 30–40 metrach plutonowy dogania rzeźnika, chwytając go za lewą rękę. Siatka upada, a butelki z mlekiem tłuką się. Milicjant prowadzi go do samochodu. Zatrzymany prosi, aby nie robić mu kolegium. Zdarzenia, których jest sprawcą, kojarzą mu się właśnie z tą instytucją.

Przy pojeździe Zbigniew Domosud chce załatwić rachunki krzywd z Bieleniewiczem od razu i po męsku, ale plutonowy energicznie nakazuje mu wsiąść na rower i jechać do Łosic. Zatrzymanego usadawia na tylnym siedzeniu UAZ-a, sam siada za kierownicą. Zawraca i rusza do Łosic. Ten fragment opowieści zostaje natychmiast odtworzony w realiach wizji. W tle majaczy zwarta grupa mieszkańców Niemojek.

Jadą. Bieleniewicz powtarza w kółko, żeby mu nie robić kolegium.

— Napodórzył się nóż. Wyjąłem go i zacząłem straszyć plutonowego... — zbliża się do kulminacyjnego momentu wizji.

13 stycznia, około 10.45 rzeźnik łosickiego geesu wyjmując z pazuchy wycięty z tektury nóż. Jego ostrze wygięło się, więc Bieleniewicz starannie je prostuje. Robi to zbyt długo, by po plecach nie przeszedł zimny dreszcz.

DZIEN jest deszczowy, mglisty i gastronomiczny. Wszystko oblepione dokuczliwą, wciskającą się za kołnierz wilgocią. Widać może na dwadzieścia metrów. W taki dzień chciałoby się zaszyć w jakimś ciepłym kącie ze szklanką „skocza” i nie angażującą umysłu lekturą. Nic z tego.

Dom Ani Nevers-Kos w Grez-Doiceau, malutkim miasteczku w połowie drogi pomiędzy Brukselą a Genk, huczy gwarem głosów i muzyką. Pierwsze, co rzuca się w oczy po wejściu do saloniku, to obrazy. Jest ich kilkanaście i nie trzeba specjalnej biegłości plastycznej, aby stwierdzić, iż malował je tam sam autor. Są to obsesyjne erotyki, nadrealistycznie wiążące czarnowłosą dziewczynę w jakieś uwikłania z gigantycznymi owadami i innymi monstrami. Dziewczyna jest podobna do właścicielki domu i obrazów.

Pierwszy człowiek, któremu zostaje przedstawiony, to dwumetrowy niedźwiedź o blond czuprynie, jasnych oczach i wyrafinowanym poczuciu humoru, którym razi na prawo i lewo. Zresztą w kilku językach. Szybko znajdujemy wspólne tematy. Jan Szoc niedawno był w Lublinie i Chełmie. Zna tam wielu ludzi. Ma plany wiążące go z Lubeliszczyną.

Minęły już ponad dwie godziny. Nastrój się wyrównał. Żal duszy i niepokój serca rozlewa się po stole.

— Podobają ci się te obrazy? — pyta nagle Janek.

— Tak...

— To Maksa — dodaje. — Znales go?

— Kogo?

— No, Maksa Szoca, mego brata.

— Tego od FAMY?

— Tego.

— Poznałem go jakoś na początku studiów. Chyba w 1975 roku. Oczywiście bardziej znam go z opowiadań. Różnica wieku...

Okazuje się, że trafiłem na ślad jednej z najbardziej barwnych postaci studenckiego ruchu artystycznego lat siedemdziesiątych w Polsce. A może nie tylko siedemdziesiątych. Faceta, który wymyślił Festiwal Artystyczny Młodzieży Akademickiej (FAMA), który go organizował, prowadził. Malarza, poetę, autora niezrównanych happeningów, kawałów. No, Franca Fiszera omalże...

— Co z bratem? — pytam ostrożnie i jest to potrzebna ostrożność.

— Na cmentarzu... Zmarł w 1983 roku...

— Tu?

— Tu. W Brukseli.

Nie wiem, co mówić dalej. O co pytać. Śmierć Maksa Szoca umknęła mi, tak jak setki innych wydarzeń, o których nie wiem i nie dowiem. Jakoś jednak głupio... Kultura studencka przez wiele lat była mi bliska, wypełniała czas. Nie da się porównać śmierci Maksa do upadku z drzewa jakiegoś rządu plemiennego w dorzeczu Limpopo. Jeszcze bardziej przybliża mnie zawartość teczeki, którą przynosi Ania. Są w niej wiersze Maksa, ale także artykuły pisane w Polsce po jego śmierci...

— Szocowie odchodzą jeden po drugim — mówi cicho Janek. — Ojciec w 1970, matka w siedemdziesiątym szóstym Janek pięć lat temu, no i we wrześniu tego roku młodszy brat Antoni. Zostałem już tylko ja. Często zastanawiam się, czy Szocowie w ogóle byli potrzebni...

Wiem, że musimy się jeszcze z Jankiem spotkać.

Nazajutrz.

— Wiele razy zastanawiałem się, kim ja jestem — ciągnie Jan Szoc sagę rodzinną, a obok siedzi jego pierworodny i jedyny syn Edgar, wsłuchujący się w znaną melodię języka swego ojca, lecz nie rozumiejący jej treści.

Kim? Rodzina ojca ma korzenie szwedzko-rosyjskie. Historia zaczyna się, kiedy na carską służbę zaciąga się zdolny oficer szwedzki zakochany w Rosjance. Osiedlają na Zakaukaziu. Syn owego oficera idzie w ślady ojca i u-

biera mundur. Jednak ciągnie go do Polaków, licznie i nie ze swej woli zasiedlających te rejony. Wyjdzie z tego mariaż z Polką, a potem przeniesienie do Wilna oraz dokładną polonizacja carskiego oficera. Dziecko tego związku, Maksymilian Szoc uczęszczać będzie już do polskich szkół. W Gimnazjum im. Mickiewicza w Wilnie — do jednej klasy z Burhardtem („Znaczy kapitan”) i Putramentem („Baldyn”) oraz z Miłozsem w klasie sąsiedniej.

Maksymilian okaże się zdolnym sportowcem: pływakiem i atletą. W podchorążówce wojsk łączności zwróca nań uwagę i skierują do warszawskiej „Legii”, gdzie wkrótce obok występów sportowych otrzyma także funkcję kapitana sportowego tego klubu. Będzie młodzieńcem budzącym powszechną uwagę młodych panien i serc szybkie bicie. Takim pozna go Władysław Goch...

Skąd panna Gochówna wzięła się w stolicy? Najprostsza odpowiedź mogłaby brzmieć: z Kraśnika Lubelskiego. Można jednak szukać dalej... Dziadek urodziwej panny Władzi przybył do Polski z Limburgii. Był znanym fachowcem, budowniczym hut szkła. Budując hutę w okolicy Kraśnika, zakochał się w Polce i pozostał na stałe. Rodzina Gochów skoligaciła się następnie z rodziną Grabczanów, znanych hodowców koni. Władysław Goch wywodziła się z pierwszego pokolenia tego połączenia genealogicznego.

Odebrała staranne wykształcenie. Ukończyła liceum ogólnokształcące i pielęgniarstwo, by następnie trafić do pracy w szpitalu św. Łazarza w Warszawie. Sposobną okazją do osiedlenia się w stolicy był fakt, iż mieszkała tu już jej starsza siostra. Jak się miało okazać, Władysława znalazła tu nie tylko dobrą pracę, lecz także męża. Władysław Gochówna i Maksymilian Szoc stanęli na ślubnym kobiercu w 1935 roku.

W 1937 roku urodził się ich pierwszy syn. Zgodnie postanowili nadać mu imię ojca. Kilkanaście miesięcy potem przyszedł na świat Antoni. Szocowie byli szczęśliwi nie tylko szczęściem macierzyństwa i ojcostwa, ale także swoją pozycją społeczną i towarzyską oraz materialną. Zapowiadało się długie, udane małżeństwo i także życie rodzinne. Wkrótce okazało się to iluzją.

30 sierpnia 1939 roku Maksymilian Szoc został zmobilizowany. Pospiesznie dojadając śniadanie, przygotowane mu przez żonę, obiecywał, iż wróci niebawem: za dwa, najdalej trzy tygodnie. Niemcy połamią sobie zęby na Polsce, a Francja i Anglia dołożą im, że aż wióry poleca. Zaczęli więc należy im się solidna nauzka. Tak spekulując, Maksymilian dopijał kawę, a Władysława przygotowywała mu kanapki na drogę do zwycięstwa. Droga ta miała się wydłużyć ponad spodziewanie i przeciągnąć nie tylko o wrzesień, ale i kilka następnych wrześni.

Iluzje potęgi militarnej i bezpieczeństwa rozwał Władysław Szoc pierwszy nalot bombowy na Warszawę. Został ją z dziećmi na ulicy. Obok szła jej siostra. Również z dwójgiem dzieci. Na widok niemieckich samolotów ludzie rzucili się do bezładnej ucieczki. Popędzani coraz bliższymi detonacjami, dopadali bram, zalegali na trawnikach, kryli się za drzewami. Obie siostry, tuląc do siebie dzieci, przygłębły do zieleni trawnika na pobliskim skwerze. Kiedy wreszcie bombowce odleciały, Władysława spostrzegła, że jej siostra nie rusza się. Podeszła do niej, odwróciła na plecy. Widok, jaki musiała wówczas ogarnąć umysłem, pozostał jej do końca życia. Brzuch kobiety był rozzerwany, a w jego wnętrzu tkwiła zmasakrowana główka dziecka. Jakaś kobieta zemdląła, a inna z histerycznym krzykiem popędziła przed siebie. Ktoś odprowadził na bok żyjącą córeczkę siostry.

Dla Władysławy Szoc stało się oczywiste, iż teraz ona musi wychowywać sierotę. Miała już troje dzieci.

Janek Szoc:

— Matka była kobietą dobrze zorganizowaną, przyjmującą wszelkie zrzędenia losu ze spokojem i pełną determinacją ich pokonania. Wychowywała całą trójkę, pracowała w szpitalu, utrzymywała również kontakty z podziemiem. Nigdy nie zdradziła nam szczegółów, ale nietrudno sobie wyobrazić, na czym mogła polegać użyteczność pielęgniarce. Nie wyjechała z Warszawy. Przeżyła wszystko, co dane było jej mieszkańcom. W tym przypadku był to także dramat szpitala św. Łazarza. Gdy dobijano powstanie, krwawo rozprawiono się także ze szpitalem. Wtargnęli do niego Ukraińcy i systematycznie zaczęli dobijać rannych. Potem wzięli się za personel. Matka siedziała w piwnicy z trójką dzieci i modła się, czekała, co będzie. Odkryli ich Ukraińcy i kazali wyjść przed budynek. Ustawili pod ścianą. Matka opowiadała potem, że jedyne, o czym myślała wtedy, to jak dodać dzieciom otuchy do przyjęcia śmierci. Strzały jednak nie padały. Odwróciła się i zauważyła, że oprawcy o coś się sprze-

ganizowania średniej szkoły pielęgniarstwa. Zjawiła się tam wiosną 1948 roku. Do września wyszukała i wposadziła budynek szkoły i internatu oraz przygotowała pierwszy nabór uczennic.

— Pamiętam, że matka zawsze przywiązywała znaczenie do uformowania swoich uczennic — powie po czterdziestu latach w Brukseli jej syn. — Dbała, aby te dziewczyny z okolicznych wiosek, często w ogóle pierwsze w rodzinie, które wyszły poza szkołę podstawową, miały dostęp do kultury. Przyjeżdżał więc do szkoły i teatr, i kino objazdowe, i filharmonia. Nawet zatrudniła kucharkę od Radziwiłłów. Kiedy przychodziła szczególnie biedna dziewczyna, matka kupowała jej ze swojej pensji ubranie. Nie chciała, aby czuła się gorzej z powodu swego ubioru. W ciągu kilku pierwszych lat wypracowała dla swego liceum niezwykle wysoki standard poziomu fachowego, jak i życiowego, społecznego. Przenosiła dobre tradycje przedwojennego szkolnictwa żeńskiego. O wychowankach szkoły już w

Korespondencja własna z Belgii

MY, SZOCOWIE

Waldemar Piasecki

czają i odchodzą na bok. Powoli przesuwają się do rogu budynku, popychając przed sobą przerażone dzieciaki. Gdy już wreszcie dotarła, skrzyła gwałtownie w bok i pobiegła do najbliższych ruin. Tam się ukryli i przeczekali. Na drugi dzień wraz z dużą grupą ludności cywilnej została pognana do Pruszkowa. Stamtąd udało jej się przedostać do Krakowa. Tam też doczekała wyzwolenia. Ona i dzieci.

Dla Władysławy Szoc było oczywiście, że skoro przeżyła, musi dopomóc tym, którym się to też udało, a są bardziej bezradni i zagubieni. Zgłosiła się do pracy w sierocińcu dla dzieci z Oświęcimia. Przede wszystkim starała się odnajdywać ich rodziny. Nie zawsze było to możliwe: niektóre dzieci nie potrafiły podać, jak się nazywają. Mimo to starano się umieszczać je w rodzinach, uznając, iż będzie to zawsze lepsze niż przytłaczająca atmosfera sierocińca. Jeden z przypadków dziecięcych losów z okresu krakowskiego stanie się twórczym scenariuszem filmu „Zapamiętaj imię swoje”. Wzruszającej historii o chłopcu adoptowanym i wychowanym przez polską matkę, który już jako dorosły mężczyzna dowiędzie się, że jego prawdziwą matką jest matka z ZSRR.

Również z Krakowa Władysława prowadzi poszukiwania Maksymiliana, swego męża. Kończą się powodzeniem. Okazuje się, że małżonek żyje i przebywa w Anglii, gdzie jest majorem Polskich Sił Zbrojnych. Po ewakuacji przez Rumunię dotarł do Francji, potem Anglii. Uczestniczył w walkach w Afryce i kampanii włoskiej. Wielokrotnie odznaczony medalami bojowymi. Kiedy odnalazła go żona, pełnił funkcję oficera łącznikowego misji repatriacyjnej organizującej powroty polskich żołnierzy-tulaczy na ziemię ojczystą. Ostatnim transportem w 1947 roku major Maksymilian Szoc powrócił do kraju. Gdy zjeździe po trapie ze statku i stanie na polskiej ziemi, powie do swojej żony: „Moja wojna się skończyła. Jestem”. Nie będzie mu wtedy przeszkadzało, iż chwilę potem zostanie energicznie poproszony o oddanie broni, z którą nie rozstawał się przez ponad siedem lat...

Szocowie zamieszkali w Krakowie, lecz nie na długo. Władysława otrzymała bowiem skierowanie do Chełma Lubelskiego i zadanie zor-

czasach moich lat szczenięcych mówiono: „szocówki”. Matkę zawsze to cieszyło, choć oficjalnie nie pozwałała na postuganie się tym określeniem. Osiągnięcia matki szybko przysporzyły jej uznanie u władzy. Praktycznie realizowała ideę społecznego awansu mas robotniczo-chłopskich. Efekty jej pracy było po prostu widać! I to był bardzo sposobny argument na rzecz słuszności nowego porządku.

W przypadku dyrektora Szocowej jeden tylko fakt mać klarowność ideową. Miała ona niestety męża „andersowca”; element plugawy, a w każdym razie podejrzany. To się po prostu źle komponowało.

Również major Szoc komponował się psychicznie w nowej rzeczywistości kiepsko. On, tryskający energią sportsmen, słynący z odwagi oficer, rzutki organizator, rzecznik masowych powrotów polskich żołnierzy do kraju, został w tym kraju odstawiony na aut, do podawania piłek. Okazało się, że jego doświadczenie i energia nie są nikomu i do niczego potrzebne. Do ludowego wojska go nie przyjęli, a posadę nauczyciela też dostał z laski i głównie ze względu na żonę. Także ze względu na dyrektorkę nie poszedł siedzieć w ciągu pierwszych lat od powrotu. Aręstowano do dopiero w 1951 roku. Władysławie próbowano natomiast wytłumaczyć, że Maksymilian zdradził socjalizm (a więc także idee, którym ona się poświęciła) i okazał się po prostu agentem wiodomych sił. Niestety, perswadowujący zawiedli się. Władysława Szoc wzięła z domu taboret, poszła pod Urząd Bezpieczeństwa Publicznego i tam urządziła strajk głodowy. Siedziała tak dwa dni, aż wreszcie trzeciego Maksymilian został wypuszczony. Pozycja Szocowej była po prostu taka że ubecka koncepcja zdrady musiała upaść.

— Ojciec wyszedł, ale w jego zachowaniu nastąpiła wyraźna zmiana — mówi Janek Szoc. — Doskonale zdawał sobie sprawę, że tylko żonie zawdzięczał wolność. On potrafiący sobie radzić w każdych warunkach bojowych. On sportowiec przyzwyczajony do zwycięstw, oklasków. On prawdziwy mężczyzna. Często klócił się z matką, miał wieczne pretensje. Czuł się poniżony, upokorzony, zdeptyany. Pamiętam ojca milczącego, zamykającego się w swoim pokoju. Odgradzonego od nas murem niechęci.

Dla Maksymiliana Szoca niewątpliwym wydarzeniem, wnoszącym w jego egzystencję nieco nadziei, był powrót do Polski Melchiora Wańkowicza, jego towarzysza broni. On właśnie namówił Szoca do pisania wspomnień wojennych. To stało się zasadniczym celem życiowym Maksymiliana. Rodzina jednak waliła się. Również pozycja Władysława zaczynała się pogarszać. Rozwód zbiegł się niemal ze zwolnieniem z pracy. Chelmska egzekutywa postanowiła, że Władysława Szoc nie nadaje się do kierowania szkołą ze względu na dyktatorskie zapędy i niedemokratyczny styl kierowania. Nie, nikt nie kwestionował jej zasług, osiągnięć, zaangażowania. Nie! Tylko — wicie, rozumiecie — ona nie nadążała. Przywykła, nabrała — wicie — złych nawyków. No i trzeba ją było wyprowadzić. Dla jej własnego zresztą dobra. Partia musiała ten ciężki obowiązek — przecież rozumiecie — wziąć na siebie.

W 1958 roku Władysława Szoc, rozwódka, matka trojga dzieci, bezrobotna opuściła Chelm Lubel-

szkania i wreszcie nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte. W pokoju, na podłodze leżał nagi ojciec. Nie żył. Jak stwierdziła potem milicja, z mieszkania nie zginęło. Poza wojennym pamiętnikiem pisany przez niego systematycznie i wozonym do konsultacji Melchiorowi Wańkowiczowi. Nie znaleziono także śladnych odcisków palców. Poinformowano nas, że przyczyną zgonu był zawał serca.

W chwili śmierci ojca Janek Szoc miał niespełna dwadzieścia lat i studiował prawo na UMK. Po ojcu odziedziczył talenty sportowe. Był uzdolnionym jeźdźcem i instruktorem hippiki. Prowadził obozy jeździeckie dla studentów zagranicznych. W czasie jednego z turnusów poznał Belgijkę Marianne Stasse, córkę znanego kierowcy rajdowego i wydawcy dwóch gazet sportowych. Wakacyjna znajomość szybko przeszła w afekt bardziej określony. Latem 1971 roku Janek przyjeżdża na zaproszenie Marianne do Brukseli i po dwóch tygodniach pobierają się.

wśród gwiazd automobilizmu. W 1974 roku, po przełamaniu licznych oporów, wątpliwości, a także złudzeń, ściga do Belgii na stałe swoją matkę. Wyjeżdża z kraju, któremu poświęciła całe swoje życie i siły, z przeświadczeniem, że opuszcza go na zawsze... W Brukseli zamieszkuje z synem i synową.

W 1975 roku umiera nagle ojciec Marianne. Oba tytuły prasowe („Le Sport” i „Sport Motor”) popadają w kłopoty finansowe i trzeba je sprzedać. Wówczas Jan Szoc otwiera restaurację, a potem drugą. Interes idzie zupełnie dobrze. Okres stabilizacji i spokoju przerywa śmierć matki. Władysława Szoc umiera w 1976 roku. W ziemi ojczystej spoczywać nie może, w belgijskiej — nie chciała. W ostatnich słowach poprosi, aby jej ciało zostało spalone, a prochy rozsypane. Nie chce pozostawić jakiegokolwiek śladu materialnego, skupiającego pamięć i ból rodziny. Stanie się zgodnie z jej wolą. Władysława Szoc nie zobaczy już swego wnuka, który urodzi się kilka miesięcy po jej śmierci.

W tym samym roku przyjeżdża do Belgii i pozostaje na stałe Maks Szoc. Będzie wiodł żywot artystyczny. Malując obrazy, wystawiając, korzystając z mecenatu znanego przemysłowca Leo Billiona oraz duchowej inspiracji kochanej kobiety. W 1983 roku Maks wpadnie do kanału portowego w Rotterdamie i zrazi się spotykana niemal wyłącznie w tropikach chorobą Walla. Zostanie zdiagnozowana, gdy na ratunek będzie już za późno. Maks umrze w wieku czterdziestu sześciu lat.

Również w 1983 roku Janek Szoc rozwiedzie się ze swoją żoną. Syn pozostanie przy matce z prawem spędzania z ojcem co drugiego weekendu i miesiąca wakacji. Szukając zapomnienia, Janek przyjmie ofertę dyrektora fabryki plastiku w Nigerii, gdzie pracuje do 1986 roku. Do czasu, gdy otrzyma propozycję objęcia stanowiska dyrektora handlowego w Elbicon Corporation, firmie zajmującej się produkcją wysoko wyspecjalizowanych urządzeń, opartych na komputerowej analizie i przetwarzaniu sygnału niesionego przez wiązkę światła laserowego.

— Ten rok był na pewno jednym z ważniejszych w moim życiu. Miałem Chelm, w którym się urodziłem, a matka spędziła najlepsze lata ży-

dla mnie ceny. Niestety, również w tym roku śmierć upomniała się o mego drugiego brata, Antoniego. Był znanym konserwatorem zabytków, mieszkał we Wrocławiu. Zmarł na zawał serca we wrześniu. Został ostatni z rodziny... — mówi mi Jan Szoc w grudniu 1988 roku.

Młoda Chinka, co do której nie wiem do końca: czy jest żywa, czy też wykonana z porcelany, przynosi nam lody. Janek pospiesznie streszcza Edgarowi treść naszej rozmowy. Młodec patrzy na mnie uważnie i mówi do ojca: „Niech ten pan napisze koniecznie, że ja jestem bardzo dumny z mojej babci Władysławy Szoc, bo była wielkim człowiekiem”. Lokal, w którym siedzimy, należał kiedyś do Janka. Dziś belgijscy Chińczycy raczą tu gości kuchnią seczuańską. Zegnamy się i wychodzimy. Janek musi na czas odwiedzić swego syna do jego matki.

Kiedy zostaniemy sami, jadąc autostradą powie mi lub może obok mnie. Tak zwyczajnie, żeby zostało powiedziane:

— Mam trzydzieści osiem lat. Mam syna, którego kocham. Pracę, którą lubię i która pozwala mi zapomnieć, że osiągnąłem w życiu zbyt mało. Zawsze bardzo chciałem stworzyć rodzinę, ale nie udało się. Być może dlatego, że sam nie miałem prawdziwej rodziny. Owszem, matka kochała nas, ale często musieliśmy ustępować wobec jej wychowanki. Pamiętam, jak kiedyś doszło do dyskusji matki z ojcem o stanie domowej kasy. „Kupiłam ubranie trzem dziewczętom. One nigdy by sobie na to nie mogły pozwolić. Mamy co jeść, mamy gdzie mieszkać! A do życia nie trzeba koniecznie codziennie mięsa na stole. Inni mają o wiele gorzej. Skończmy tę dyskusję!” — powiedziała. Taka była. Nie mam do niej pretensji. Nie mogę też winić ojca, że nie miał dla nas czasu. Ten czas obszedł się z nim zbyt brutalnie i niegodziwie, aby miał go dzielić z kimkolwiek. Gdy dziś się zastanawiam, nie wiem, czy życie nie oszukało matki bardziej niż ojca. On od początku, od powrotu do Polski miał jasną sytuację. Nie mógł spełniać swej energii, dzielić jej z innymi. Matce natomiast pozwolono się wypalić, wyeksploatować, by potem zgasić ten płomień, mimo że mógł jeszcze płonąć bardzo długo. Bardzo przeżywała odejście z Chelma i nigdy po tym ciosie już się naprawdę nie podniosła. Mówią dziś: „stalinizm”. Było, przeszło. Tylko czy tym jednym słowem da się wszystko zdefiniować, objaśnić? A ja? Mieszkam w Brukseli, choć wcale nie miałem takiego zamiaru. No dobrze, mam paszport belgijski, powinienem o Polsce zapomnieć! Wypluła mnie, więc nie muszę się do niej umizgiwać. Tylko, że ja nie mogę! Kiedy byłem na uroczystościach w Chelmie, zrozumiałem, że się z Polski po prostu już nie wywikłam. Chyba, że zrobi to za mnie cukrzyca.

W aucie robi się cicho. Swięcąca strzałka szybkościomierza pokazuje sto siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Zaczynam sobie wyobrazać, swoją tandetnie telewizyjną wyobraźnią, że widzę z góry, jak pędząca lewym skrajnym pasem autostrady mazda napotyka nagle przed sobą jadący wolno TIR. Na hamowanie jest już za późno. Słychać potężny huk, a za chwilę oślepią błysk eksplozji. Być może byłoby to lepszym rozwiązaniem niż nasze dalsze, przez kilkadziesiąt kilometrów, milczenie. Przez zaciśnięte zęby.

PS. Firma „Elbicon Corp.” w osobie Jana Szoca prowadzi rozmowy nad kooperacyjną produkcją w Polsce superszybkiego tomografu komputerowego, opartego na wykorzystaniu analizy światła laserowego jako nośnika informacji (zamiast promieni rentgenowskich, jak dotąd). Zamierza także znaleźć partnera do wprowadzenia na polski rynek farmaceutyczny rewelacyjnego specyfiku, wyprodukowanego przed rokiem przez firmy amerykańską oraz belgijsko-francuską. Jest to pastylka insulinowa, zdolna wyeliminować dotychczasową udrękę cukrzyków z rodzinnymi iniekcjami. Pastylka miałaby być produkowana w Polsce, a koszty licencji spłacane na warunkach bardziej niż dogodnych. Prócz tego Jan Szoc jest członkiem rady funduszu budowy Instytutu Pediatrii im. Dzieci Zamojszczyzny w Lublinie. Tak wywikłuje się z Polski.

W.P.

NIEPOTRZEBNI

ski. Na zawsze. Maks miał wówczas skończone dwadzieścia lat, Antek dziewiętnaście, a Janek — osiem. Pojechali do Bydgoszczy. Dlaczego tam? Starsi synowie marzyli o studiach na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. To po pierwsze. Po drugie, w Warszawie ktoś powiedział Szocowej, że w Bydgoszczy będą organizować liceum pielęgniarstwa, więc chętnie ją tam

Janek wraca do Polski, a po kilku miesiącach przyjeżdża do Torunia również jego małżonka.

Powie:

— Kończyłem studia, a Marianne poznawała Polskę. Toruń podobał się jej bardzo. Mieliśmy nawet plany osiedlenia się tu na stałe. Ułożyło się jednak zupełnie inaczej. Któregoś dnia zostaliśmy wezwani do Wydziału Paszportów,

gdzie mojej żonie wręczono decyzję o wydaleniu z Polski. Miała na to czterdzieści osiem godzin. Nie podano żadnych przyczyn, tłumacząc się tajemnicą. W takiej sytuacji natychmiast złożyłem wniosek o wyjazd z Polski na stałe w związku z zawarciem małżeństwa. Po dziewięciu miesiącach otrzymałem pozytywną decyzję.

W Brukseli Jan Szoc znalazł zatrudnienie jako fotoreporter w gazetach swego teścia. Praca satysfakcjonowała go. Ciagle coś się działo. Jeździł z jednych zawodów samochodowych na drugie. Obracał się

cia, uczcił jej pamięć, nadając szkole, którą kierowała jej imię. Byłem na tej uroczystości i zapamiętam do końca życia. Po prostu po ludzku oddano honor pracy matki, poświęceniu oraz otwarcie rozliczono krzywdy, jakich doznała. Przybyły uczennice matki z całego kraju. Mówiły o niej z szacunkiem, czcią. Wielekroć płakały, wspominając różne zdarzenia z jej udziałem. Przyznam, że dowiedziałem się o mojej matce wiele nowego. W tym sensie, iż nie do końca miałem świadomość jej dobroci i spolegliwości. Ta nauka, wywieziona z Chelma, nie ma



Jan i Edgar Szocowie na brukselskiej Starówce. Fot. Waldemar Piasecki

przyjmą. Rzeczywiście, po rocznej pracy w kuratorium Władysława Szoc otrzymała stanowisko dyrektora szkoły pielęgniarstwa.

— Z ojcem utrzymywaliśmy sporadyczne kontakty — powie Janek. — Kartkę z życzeniami na święta i imieniny. Jakieś przypadkowe spotkania. Któregoś dnia w 1970 roku matka otrzymała w domu telefon, że ojciec nie żyje. Bez żadnych szczegółów. Natychmiast udała się do Chelma. Tam dowiedziała się, że uczeń, który miał ojcu przynieść — zdaje się — książkę, nie mógł się dodzwonić do mie-

ZDARMOWEGO zaopatrzenia w wódkę i spirytus z „Polmosu” korzystały przedstawiciele niemal wszystkich instytucji, władz politycznych i państwowych Lublina. Tymczasem na jawie oskarżonych zasiadają dziś jedynie pracownicy „Polmosu” — doniosła „Polityka” 29 października 1988 roku w obszernym artykule pt. „W oparach”, w którym ujawnione zostały kulisy lubelskiej afery spirytusowej.

W niecały miesiąc później siedziałam w największej sali rzeszowskiego zamku, który

Franciszka Ł., naczelnego dyrektora Lubelskich Zakładów Przemysłu Spirytusowego i Drożdżowego „Polmos” w Lublinie, członka PZPR, odznaczonego Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, odznaką „Zasłużony dla województwa lubelskiego”, odznaką „Zasłużony dla miasta Lublina” itd., pełniącego wcześniej stanowisko wicewojewody lubelskiego;

Alinę Ł., zastępcę dyrektora do spraw handlowych LZPSiD „Polmos” w Lublinie, członka

przyczepiony do sufitu. Jaśniejąca żarówka rzucają światło na twarze oskarżonych.

Oskarżeni zajęli miejsca w wysokich ławach. Poniżej usiedli ich obrońcy. Są to miejscowi, rzeszowscy mecenas. Tylko jeden przyjechał z Lublina.

Miejsca dla publiczności świecą pustką. Jest żona Franciszka Ł. i córka Kazimierzy W. Z lubelskiej prasy przyjechałam ja oraz redaktor Alicja Chwałczyk z „Kuriera Lubelskiego”. Jest dziennikarz z rzeszowskich „Nowin” i z miejscowej rozgłośni Polskiego

względu na bardzo zły stan zdrowia i nerwów:

— Mam intensywnie bóle głowy, zakłócenia trawienia i przemiany materii, a psychicznie czuję się całkowicie wykończona — mówi cichym głosem.

Przewodnicząca sądu orzekającego to Maria Krydus, długoletni sędzia Sądu Wojewódzkiego. Pani sędzia znana jest w Rzeszowie ze skrupulatności, wręcz pedantyczności w prowadzeniu spraw. To bardzo doświadczony i dobry sędzia — zbieram płótki w kularach rzeszowskiej Temidy.

Sąd zarządził, by Kazimierę W. zbadał biegli specjaliści z dziedziny interny i neurologii; w oparciu o ich opinie rozpatrzone zostaną wnioski w kwestii uchylenia aresztu.

Tymczasem trwa dalej rozprawa

Sąd zebrał już od oskarżonych pełne dane osobowe. Teraz oddał głos prokuratorowi, który rozpoczął czytanie 60-stronicowego aktu oskarżenia.

„Oskarżam Włodzimierza T. o to, że w okresie od lipca 1984 roku do 16 października 1987 roku jako kierownik działu zestawialni i rozlewni wódek Lubelskich Zakładów Przemysłu Spirytusowego i Drożdżowego „Polmos”, odpowiedzialny za nadzór i ochronę powierzonych mu mienia, zabrał w celu przywłaszczenia 453 butelki półlitrowe wartości 1 051 670 zł, a nadto działając wspólnie i w porozumieniu z Kazimierą W. — 3253 półlitrowe butelki wódki wartości 2 204 900 zł wyrządzając tym szkodę w mieniu zakładu łącznej wartości 3 256 570 zł, tj. o przestępstwo z art. 201 kk i art. 200 § 1 kk w związku z art. 10 § 2 kk i art. 58 kk.

[...] o to, że [...] przekroczył swoje uprawnienia w ten sposób, iż na polecenie dyrektora zakładu Franciszka Ł., zastępcy dyrektora Aliny Ł. i zastępcy dyrektora Józefa K. wydał im poza ewidencją 245 półlitrowych butelek spirytusu wartości 470 550 zł i 471 półlitrowych butelek wódki wartości 388 850 zł — łącznej wartości 857 400 zł.

[...] dopuścił się niezgodnego z ustalonymi zasadami postępowania z wyrobami zlej jakości przez to, że uwzględniając reklamacje, wydawał alkohol zgromadzony w szafach lub linii rozlewniczej bez jego ewidencji, stwarzając przez to możliwość kradzieży alkoholu pod pozorem wydawania go w ramach reklamacji.

[...] wbrew zasadom ewidencji, dokumentacji produkcji i magazynowania wyrobów, dla umożliwienia dysponowania alkoholem poza ewidencją, zlecił gromadzenie wódki i spirytusu w szafach zestawialni i rozlewni, przy czym w dniu 16 listopada 1987 roku znalazło się tam 665 półlitrowych butelek wódki i spirytusu o łącznej wartości 771 657 zł oraz w pomieszczeniu zestawialni 127 dm sześć. 100-procentowego spirytusu w balonach szklanych wartości 638 130 zł.

[...] dla dokumentacyjnego podwyższenia ubytków naturalnych produkcji wódek wystawił fikcyjny dowód przyjęcia do zestawialni 8 664 litrów spirytusu wartości 33 962 880 zł, stwarzając przez to niewidoczną nadwyżkę spirytusu w magazynie i możliwość jego kradzieży.

I przez to doprowadził do powstania szkody w mieniu zakładów w wysokości 857 400 zł, zaś w stosunku do mienia wartości 35 372 685 zł stworzył możliwość powstania powyż-

szej szkody, tj. o przestępstwo z art. 217 § 1 i § 2 kk i art. 266 § 1 kk”.

16 listopada 1987 roku

był czarnym dniem dla Lubelskich Zakładów Przemysłu Spirytusowego i Drożdżowego „Polmos” w Lublinie. Pod bramę zakładu zjechały milicyjne wozy. W pustej jeszcze teczce z aktami znajdowała się tylko notatka służbowa funkcjonariusza MO: „W czasie wykonywania czynności służbowych ustaliliśmy, że grupa pracowników LZPSiD „Polmos” systematycznie dokonuje kradzieży spirytusu i wódek różnego gatunku [...]. W czasie produkcji, już z taśmy, transportery z wódką odstawiane są do innych pomieszczeń i szaf służbowych, a następnie wynoszone są z zakładu”.

W czasie śledztwa świadek Renata C. powiedziała: „Gdy rozpoczęłam pracę w rozlewni, zauważyłam, że pracownicy ładują ręcznie butelki do transporterów, wybierają losowo butelki z alkoholem i odstawiają na bok. Po zebraniu pewnej ilości butelek były one ładowane do transporterów i wynoszone do szafy metalowej stojącej na hali rozlewni [...]. Na terenie zestawialni wódek również znajdowały się metalowe szafy, w których była przechowywana wódka i spirytus, pobrane wcześniej z rozlewni”.

Świadek Stanisława B.: „Nie pytałam kierownika T., w jakim celu gromadzona jest wódka w szafie. Rewidentki mówiły, że alkohol ten potrzebny jest na reklamacje. Dziwiłam się bardzo, ponieważ, gdy pracowałam w latach 60—70. na rozlewni nie było szafy i żadnego gromadzenia wódki na wymiany reklamacyjne. Gdy ktoś przychodził wówczas z reklamacją, to wódka pobierana była z taśmy [...]. Widziałam kilka razy, jak klienci przychodzili celem wymiany reklamacyjnej. Nigdy nie widziałam wydawania większej ilości niż jedna butelka, przy czym była zwracana wódka niepełnowartościowa. Osoby te otrzymywały wódkę z szafy”.

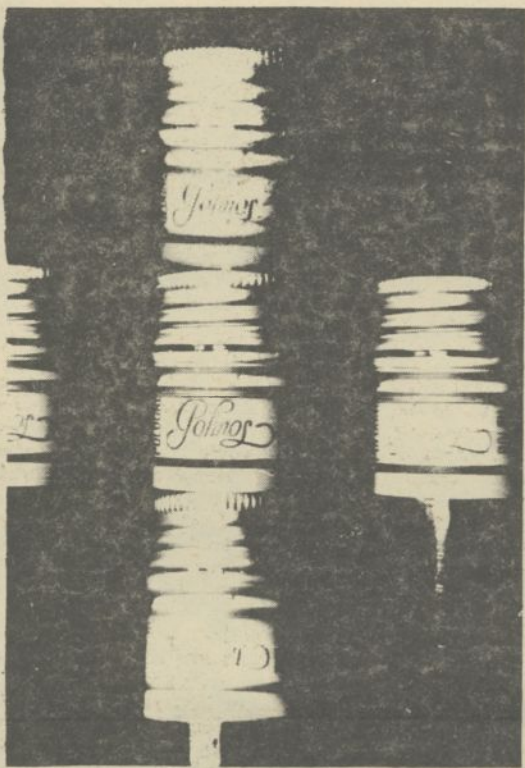
Świadek Zofia M.: „Pracuję cały czas na linii produkcyjnej. Kierownik T. powiedział do mnie: »Dziewczyno, zabierzcie plastik«. Znaczący to, że mieliśmy z rozlewni wziąć transporter wódki i zanieść go do pomieszczenia zestawialni. Po przyniesieniu transportera chowałyśmy go do metalowej szafy”.

Oskarżony Włodzimierz T.: „To było w kwietniu lub maju 1986 roku. Przed godziną siódmą czekałem koło budynku administracyjnego na kierownika działu zbytu. W tym czasie do pracy szła dyrektorka Alina Ł. Zwróciła się do mnie: »Panie Włodku, mam taką prośbę — dla wojewody potrzebny jest alkohol«. Skoro padło nazwisko człowieka tak wysokiej rangi oraz była to potrzeba przełożonego, to powiedziałem, że powolaj alkohol będą przygotowywał. Alina Ł. oświadczyła mi, co przygotować konkretnie: 50 butelek wódki »Krakus«, 50 butelek »Extra Żytniej« i około 100 spirytusu. [...] Byłem zaskoczony tym żądaniem. Przygotowanie takiej ilości alkoholu wymaga dłuższego czasu, gdyż w szafie nie było nigdy tak dużej zapasu. Wiązało się to z koniecznością ręcznego doboru spirytusu i wódki. Wydałem polecenie pracownikom zestawialni [...], aby część wódki i spirytusu nalali ręcznie, zamknęły maszynowo i nakleiły etykiety. Posiadam wrodzoną lojalność i uległość. więc sumienie nie pozwoliło mi nie wykonać polecenia”.

(edn.)

„POLMOS” PRZED SĄDEM

Izabella Wlazłowska



Fot. Waldemar Stępień

jest siedzibą tamtejszych sądów, by relacjonować rozpoczęty proces pracowników Lubelskich Zakładów Przemysłu Spirytusowego i Drożdżowego „Polmos” w Lublinie.

Dlaczego proces rozpoczął się w Rzeszowie?

26 sierpnia 1988 roku Sąd Wojewódzki w Lublinie postanowił wyłączyć się od prowadzenia tej sprawy i całość akt przekazał Sądowi Najwyższemu, by ten wyznaczył do jej rozpoznania inny równorzędny sąd. W uzasadnieniu postanowienia Sąd Wojewódzki w Lublinie stwierdził: „Jednym z głównych oskarżonych jest Alina Ł. pełniąca od 1977 roku do chwili obecnej obowiązki ławnika w tutejszym sądzie. Oskarżony Franciszek Ł. jest byłym wicewojewodą, a pomówienia oskarżonych dotyczą również osób zajmujących wysokie stanowiska na terenie tutejszego okręgu i znanych powszechnie, w tym osobiście, sędziom. Rozpoznanie tej sprawy w tut. okręgu może wywołać wątpliwość co do bezstronności sądu”.

Podobnie postąpiła Prokuratura Wojewódzka w Lublinie. Decyzją prokuratora generalnego w lutym 1988 roku dochodzenie w tej sprawie rozpoczęła grupa pięciu prokuratorów z Tarnobrzega, Krakowa, Rzeszowa i Chełma, która zarejestrowała się w Prokuraturze Wojewódzkiej w Warszawie. Chodziło o wykluczenie wszelkich podejrzeń, że w Lublinie sprawa mogłaby być prowadzona tendencyjnie.

Prokuratorzy postawili w stan oskarżenia sześć osób:

PZPR, odznaczoną odznaką „Zasłużony dla województwa lubelskiego”, odznaką „Zasłużony dla miasta Lublina”;

Józefa K., zastępcę dyrektora do spraw technicznych LZPSiD „Polmos” w Lublinie, członka ZSL, odznaczonego odznaką „Zasłużony dla miasta Lublina”;

Kazimierę W., głównego technologa, a wcześniej kierownika laboratorium LZPSiD „Polmos” w Lublinie, odznaczonego Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski;

Włodzimierza T., kierownika działu rozlewni w LZPSiD „Polmos” w Lublinie, członka ZSL, odznaczonego odznaką „Zasłużony dla województwa lubelskiego”;

Włodzimierza W., emeryta, zatrudnionego w LZPSiD „Polmos” w Lublinie jako inspektor do spraw obronnych, członek PZPR, odznaczonego Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, złotym i srebrnym Krzyżem Zasługi, odznaką „Zasłużony dla województwa lubelskiego”, odznaką „Zasłużony dla miasta Lublina”.

Jest wtorek, 22 listopada 1988 roku

Sala nr 201 to jedna z największych sal rzeszowskiego zamku. Szaroniebieski kolor ścian i półkolistych zdobień zlewa się z szarością jesiennego przedpołudnia, która barwi szyby wysokich okien. Wielki metalowy żyrandol zwisający pośrodku, o długich, czarnych ramionach, wygląda jak monstrualnych rozmiarów pajak

Radia. W Rzeszowie sprawa ta nie cieszy się żadnym zainteresowaniem, pomimo iż „Nowiny” poświęciły jej już sporą publikację. Cóż, oni mają tu własne afery.

Spośród oskarżonych najbardziej rzucającą się w oczy postacią jest Franciszek Ł., ubrany w elegancki szary garnitur i idealnie dopasowany popielato-bordowy krawat w ukośne paski. Siedzi wyprostowany i energicznymi ruchami przesuwa leżące przed nim dokumenty. Alina Ł. podparła głowę obiema rękami i poprawiając co chwila okulary, uważnie czyta akt oskarżenia. Włodzimierz W. siedzi mocno przygarbiony i pochylony do przodu. Splótł ręce na brzuchu i zenka na prokuratora.

Siedząca osobno Kazimiera W. robi na mnie przygnębiające wrażenie. I chociaż jako dziennikarz powinnam zachować dystans do tego, co dzieje się na tej sali, nie mogę wyzbyć się wobec oskarżonej uczucia litości. To tylko ona i Włodzimierz T. do dnia dzisiejszego przebywają jeszcze w areszcie. W stosunku do pozostałych oskarżonych areszt tymczasowy został uchylony i odpowiadają oni z tzw. wolnej stopy. Konwój milicyjny przywiózł dzisiaj Kazimierę W. z aresztu w Nisku. W dniu aresztowania, a więc 18 listopada 1987 roku, miała skończone 61 lat. Przepracowała całe życie i zamiast pójść na zasłużoną emeryturę, poszła za kratki.

Siwa, roztrzęsiona kobieta, prosi sąd o uchylenie wobec niej aresztu tymczasowego ze

CAŁEJ PRAWDY NIE DOWIEMY SIĘ NIGDY

O DWÓCH TAKICH CO NAKRYLI „POLMOS”

Rozmowa z Janem Bielakiem i Kazimierzem Pycem, pracownikami izby Skarbowej w Lublinie

— Rozpracował pan, inspektorze Bielak, największą lubelską aferę od osadów tzw. miłanek. Podobno talon na samochód już pan otrzymał. Co jeszcze?

Jan Bielak: — Żadnego talonu nie dostałem.

— Pozostała panu jedynie satysfakcja i sława?

Jan Bielak: — Nawet z tą satysfakcją to też nie tak. Ja całą tę sprawę uważam za osobistą porażkę... Główni winowajcy chodzą na wolności, a siedzą tylko plotki. Cóż za udział miała w tym gangu ta starsza pani — pani W.?

— Główni winowajcy, czyli kto?

Jan Bielak: — Dyrekcja.

— Zasiada przecież na ławie oskarżonych. A zatem porażka nie jest aż tak duża.

Jan Bielak: — Proszę pana, ja bym wolał, żeby całej tej sprawy nie było, żebyśmy mogli jak dawniej chodzić sobie spokojnie ulicami. Słyszałem już różne wersje na temat „Polmosu”. Wcale się nie dziwię, jeśli pewnego dnia zastanę na parkingu samochód z wybitymi szybami. Czy pan myśli, że wszystkim podobało się to, co zrobili?

— Czy pan się boli?

(Cisza).

— Dyrekcję popierało wielu wpływowych ludzi, a kto stał za panem?

Jan Bielak: — Prawo.

— No i sąlega „Polmos”...

Jan Bielak: — Skąd! Ludzie tylko machali rękami i mówili: „Nic im nie zrobicie”.

Kazimierz Pyc: — Niektórzy byli jednak zadowoleni z naszej obecności. Słyszałem i takie głosy: „Dobrze, niech tutaj będą, przynajmniej ich trochę pohamują”. Tych aferzystów zżubiła pazerność. W takich zakładach rozlanie ówiarłki czy pół litra spirytusu — to zero. Normy dopuszczalnych ubytków są tak tolerancyjne, że wygospodarowanie skrzynki alkoholu dziennie nie stanowi problemu. Problem stanowi jego „upłynnienie”. Gdyby nie zabierali tego alkoholu spoza linii produkcyjnej, nigdy nie byśmy im nie udowodnili. Ale oni wierzyli w swoją bezkarność. Jeden ze starych pracowników powiedział nam potem: „Ci ludzie powinni siedzieć w Abramowicach, a nie w więzieniu”.

— Kiedy panowie zauważyli nieprawidłowości w zakładzie?

Jan Bielak: — Przed paru laty. Ale rzecz nie polegała na likwidowaniu jedynie skutków czy jednorazowych „wpadek”. Trzeba było się dobrać do całej mafii. Nasza praca ma coś z pracy detektywa, ale nie oznacza to, że nie reagowaliśmy na bieżące problemy. W październiku 1986 roku zakwestionowałem dziewięćdziesiąt dwie butelki alkoholu, na który nie było dokumentacji. Z kierownikiem działu poradziłem sobie łatwo, ale wiedziałem, że za tym stoi dyrekcja.

— Skąd pan to wiedział?

Jan Bielak: — Od ludzi. W każdym przypadku tłumaczyli się, że działają z konkretnego polecenia. Musiałem się tylko upewnić, czy tak jest.

— I upoważnił się pan?

Jan Bielak: — Tak. Wszystkie moje uwagi o nieprawidłowościach pozostawały bez reakcji. Stosunek do mnie był od początku nieprzyjemny. Szybko odkryłem, z kim mam do czynienia. Trudno opisać, jaka tam panowała arogancja. To był przykład „czerwonej burżuazji” w socjalizmie. Robotnik czy sprzątaczką nigdy nie siadali tam przy jednym stole z dyrektorem. Nie sądziłem, aby prosił kierownika lub szeregowego pracownika dostąpił kiedykolwiek zaszczytu uściśnięcia dyrektorskiej ręki.

— Czy tylko z powodu arogancji nie reagował dyrektor na pańskie uwagi?

Kazimierz Pyc: — Mówiono, że nie reagował nawet na wezwania Komitetu Miejskiego PZPR. Dla niego liczył się tylko Komitet Wojewódzki. Fakt, że ta afera nabrała tak szerokiego rozgłosu, był dla niego ogromnym szokiem. Z pewnością zakładał, że zauważymy pewne machlojki, ale sądził, że wszystko skończy się na rutynowym protokole.

— Proszę panów, opinia publiczna w mieście głosi, że „Polmosu” brał wódkę każdy, kto sznycił coś w kontaktach z przedsiębiorstwem. Ile butelek otrzymali panowie?

Kazimierz Pyc: — Gdyby tak było, siedzielibyśmy teraz za kratkami. Nas próbowało „ugłaskać” inacej: kawka, herbatka, mały poczęstunek — takie dobre, towarzyskie stosunek. Oczywiście byliśmy także zaproszeni na słynny jubileusz 80-lecia zakładu. Z tego przyjęcia również można było wyciągnąć wnioski. Przygotowano butelki na prezenty, obowiązywała pełna gala.

— Czy inacej urządził się jubileusz, polowania i rauty w Rzeszowie, Kielcach, Białymstoku, Warszawie, Gdańsku?

Jan Bielak: — Nie wiem. Nie bywam. Kazimierz Pyc: — Lubelski „Polmos” jest, w pewnym sensie, najlepiej „pilnowaną” placówką tego typu w kraju. Gdyby w odpowiednim czasie nie zjawili się tam funkcjonariusze WUSW, zapewne ponieśliśmy klęskę, a konsekwencje całej tej afery mogłyby odwrócić się przeciwko nam.

Jan Bielak: — I tak próbowano nas w to „wrobić”. Gdyby nie milicja, to ja byłbym bardzo małym człowiekiem.

— Co to znaczy „mały człowiek”?

Kazimierz Pyc: — No, on nie ma żadnych „pleców”. Kto z nas ma „plecy”? Myśmy działali według własnej kantyczki. Kiedy w poniedziałek 16 listopada 87 roku poszliśmy do dyrektora i poprosiliśmy go, by powołał komisję dla opisanego ujawnionego bez dokumentacji alkoholu, strasznie się zdenerwował. „To wyście nic nie robili!” — krzyczał. — „Wyście tolerowali taką sytuację!”. Powiedziałem mu, że nie mamy obowiązku pilnowania zakładu. Dbamy tylko o jego prawidłowe funkcjonowanie. „To pan jest odpowiedzialny za podległych sobie ludzi i powierzone panu mienie — powiedziałem. — Niech pan nie próbuje zrzucić odpowiedzialności na nas”. Wtedy bardzo się zmieszał. Trzy dni później został aresztowany.

— Kto powiadomił milicję?

Jan Bielak: — Ja tego nie wiem. Na pewno nie my.

— Żeby interweniować, musieli przecież dobrze znać sytuację w „Polmosie”. Czyby „sznyc” z wewnątrz?

Jan Bielak: — Niech pan nie będzie naiwny. To zakład pod specjalną „opieką”.

— Dekonajmy może teras małego resumé dla tych czytelników, którzy nie są zbyt dobrze zorientowani w tej materii. A zatem: przedstawiciele Izby Skarbowej, pełniący rutynowo dyżury w „Polmosie”, od pewnego czasu dostrzegali niepokojące praktyki: gromadzone poza ewidencją alkohol, w zakładzie „ujawniali” się butelki nie objęte dokumentacją, pod bramą można było zaobserwować wzmożony ruch służbowych i prywatnych samochodów...

Jan Bielak: — Przez ostatnie półtora roku prowadziliśmy ścisły nadzór, ale proceder gromadzenia alkoholu na „lewo” nadal kontynuowano. Ostrzegałem, że będę plombował magazyny. Dyrektor na to, że będzie zrywał moje plomby. W listopadzie 1987 roku poinformowano nas, że zakłady będą pracowały w wolną sobotę 14-tęgo. Kiedy zjawili się na miejscu, okazało się, że sobotę tę „odpracowano” poprzedniego dnia na trzeciej, dodatkowej zmianie. Było to jawne naruszenie przepisów o znamionach przestępstwa. De facto oznaczało uruchomienie na parę godzin nielegalnej rozlewni. Rozlewano tam wódki innego gatunku niż te, które nam uprzednio zgłoszono, i w butelki zakupione specjalnie w tym celu. Znalazłem te butelki w magazynie. Były przeznaczone dla dyrekcji. Napelniano i zamykano je ręcznie. Wobec powyższego zaplombowałem rozlewnię i ustawiałem wódek, nakazałem portierom pilnowanie urzędowych zabezpieczeń i dokonałem odpowiednich wpisów. W niedzielę byłem w zakładzie. W poniedziałek przed szóstą wpuściłem do rozlewni pracownika, by uruchomił produkcję. Naturalnie, od razu zawiadomiłem swoich przełożonych. Kiedy uzgadniał dalszy tok postępowania, na teren „Polmosu” weszła milicja.

— Czy panowie wiedzieli, dla kogo była przeznaczona wywieziona z zakładu wódka?

Jan Bielak: — Nie. Przeczytaliśmy w gazetach. Przez bramę wjeżdżały samochody służbowe, ale skąd mogłem wiedzieć, do kogo należą, komu wożą. Niektóre jednak znalazłem dobrze...

— Na przykład?

Jan Bielak: — Nie mogę powiedzieć. To, że ktoś wjeżdżał na teren zakładu, nie oznacza jeszcze, że wywoził stamtąd wódkę. Ja go nie złapałem za rękę.

— Jak to możliwe, żeby na terenie strzeżonego przedsiębiorstwa kręcił się swobodnie obcy ludzie?

Jan Bielak: — Czasami samochód zakładowy wywoził gościa za bramę, a tam przesiadał się on już do swojego wozu. Ale to żaden dowód.

— Jaki finał miałyby afera „Polmosu”, gdyby nie interwencja WUSW?

Kazimierz Pyc: — Sporządzilibyśmy protokół i powiadomilibyśmy prokura-

turę. Do niej należy kwalifikacja. Myśmy nie udowodnili kradzieży, tylko przechowywanie wódki poza dokumentacją. To, że alkohol był przeznaczony do zagarnięcia, stanowiło nasze domniemanie.

— Ludzie mówią, że to przez was brakuje w Lublinie wódki.

Jan Bielak: — Nie tu jest przyczyna. Mogę tylko powiedzieć, że obecna produkcja jest mniejsza o jedną trzecią od ubiegłorocznej, a lubelski „Polmos” zaopatruje w wódkę cały Śląsk.

— Sądzę, że bankiety w innych miastach Polski obsługiwane są przez te same źródła. Dlaczego Lublin miał to „nieszczęście”, że właśnie tu doszło do ujawnienia przeliczków?

Kazimierz Pyc: — Jeśli dyrektorowi potrzebny jest alkohol do reprezentacji, zawsze potrafi go wygospodarować.

Jan Bielak: — Kiedy do „Polmosu” przyjeżdża wycieczka, normalnie prowadzi się ją do laboratorium, robi się degustację.

Kazimierz Pyc: — Prawda zatem o lubelskiej aferze ukrywa się w zachłanności i poczuciu bezkarności zaangażowanych w nią osób. Ważna jest także skala całego procederu. Kradzieże na terenie tego typu zakładów będą istniały zawsze. Jeśli wartość butelki spirytusu przewyższa znacznie robotniczą drówkę — czyż nie jest to już dostateczna pokusa? Minęły czasy, kiedy w zakładzie stało wiadro z alkoholem i nikt go nie dotknął. Całkowita kontrola nie jest w takich przedsiębiorstwach możliwa. To ogromny kombinat z tysiącami rur, aliczek, kraników, odpływów i zbiorników. Logika całej naszej ekonomii prowokuje do nadużyć. Widziałem, jak przez nieudolność czy zwykłą nieostrożność marnowały się dziesiątki litrów alkoholu. Kierowca źle przykręcił wąż do autocysterny i alkohol wsiąkał w ziemię. Dobro państwowo zatraciło dla ludzi wartość. To dla nich teraz „pole niczyje”. Skandal wybucha tylko wtedy, kiedy rzecz staje się zbyt jaskrawa.

— Czy sugeruje pan, że w „Polmosie” nadal kradnie się wódkę?

Kazimierz Pyc: — Kradzieże przy tego typu produkcji będą zawsze. Niekoniecznie muszą mieć one tylko błogosławieństwo dyrekcji. Już poprzednio, kiedy penetrowaliśmy zakład, słyszeliśmy: „Pan to tylko chodzisz i zapisujesz. Coś pan taki dokładny?” Nic się nie zmieniło.

— Czy śledzicie panowie przebieg rzeszowskiego procesu?

Jan Bielak: — Tak. Będziemy go śledzić, ale z czystej ludzkiej ciekawości. Interesuje mnie, jakie zapadną tam wyroki, jak zostaną ukarani winni. To chyba naturalny odruch w naszym przypadku.

— Z procesu dowiemy się — miejmy nadzieję — ile naprawdę ludzi było „umocnionych” w aferę lubelskiego „Polmosu”.

Jan Bielak: — Obawiam się, że tego nie dowiemy się nigdy.

— Mimo tego pesymizmu dziękuję panom za rozmowę.

Rozmawiał:
Wiesław Horabik

— Wdzięczny byłem Krzysztofowi Kieślowskiemu za to, że odbierając w Theater des Westens w Berlinie Złoty Niedźwiedź „Europejskiego Oscara”, z właściwym sobie sarkazmem powiedział: „Mam nadzieję, że Polska leży w Europie...” Dla wielu bowiem — czego i sam doświadczyłem — „prawdziwa Europa” zaczyna się nad Atlantykiem a kończy na Łabie. Natomiast dalej na wschód znajduje się coś w rodzaju przedmurza Azji. Również podczas owej filmowej gali, mimo że służącej — zgodnie z ideą święta — wykazaniu jedności europejskiej kultury, widoczne było dzielenie Europy na „ich” i „naszą”.

— Oczywiście, można się obrazić na „prawdziwych Europejczyków”. Z tego to chyba powodu lektor polskiej lewicy „nie zdał” z tłumaczeniem niektórych kwestii. Przykładem podziękowanie znakomitego angielskiego reżysera — „akże uhonorowanego „Europejskim Oscarem” — Attenborougha. Zdefiniował on mianowicie europejskość tak, jak ją rozumie. Mówiąc o tradycjach chrześcijańskich, wskazał na prawo jednostki do uczestnictwa w

Nasze oczywiste zapóźnienia wobec Zachodu nie wynikają z tego, że jesteśmy głupszy czy bardziej leniwi. Są one prostym rezultatem niedawnych jeszcze ingerencji politycznych w naukę. Uznanie cybernetyki, socjologii czy genetyki naukami burżuazyjnymi zablokowało dalszy ich rozwój. Przyszłoby czas, że klątwę zdjęto. Gorbaczow dziś wręcz mówi o scholastyce i dogmatyzmie tamtych lat. Jednak odbudowa „zakazanej” dyscypliny czy nawet szkoły to odblokowanie ludzi mających zakodowane strach, to intelektualne i technologiczne dopędzanie świata — a więc procesy trwające całe dziesięciolecia.

Przywołany tu przykład indoktrynowanej nauki odnieść można — jak sądzę — do bardzo wielu dziedzin życia, dając tym samym odpowiedź na pytanie o źródła naszego kryzysu. Lecz rozumianego szeroko, nie tylko z perspektywy sklepowej półki, dewaluacji pieniądza, ale również kondycji każdego z nas.

— O ile dłużej, mimo wszystko, nie mamy wątpliwości, że Polska leży w Europie, to może nadejść czas zwątpienia. Tak wiele trzeba odrobić, a tu

wielkie firmy chcą być tu obecne, zanim zatrzasną się zamknięte już bramy. A z początkiem 1989 r. rozpoczęła się prawdziwa „wojna celna” między EWG a Stanami Zjednoczonymi.

Natomiast w Polsce, z wyjątkiem kół naukowych, cała ta sprawa — jak obserwuję — traktowana jest w taki biurokratyczno-spokojny sposób: nas to specjalnie nie dotyczy... Bardzo mi to przypomina reakcję naszych władz na kryzys naftowy w 1973 r. Bardzo się wówczas spierałem z przedstawicielami biurokratycznego optymizmu, twierdzącymi, że to, iż OPEC podnosi cenę na ropę, Polski nie dotyczy. Okazało się, że dotyczyło, że późniejsze nasze kłopoty i upadek ekipy Gierka miały bezpośredni związek z kryzysem naftowym.

— Jakie są więc te zagrożenia?

— W pierwszym rzędzie ekonomiczne, ale od nich krok tylko do zwątpienia przez Polaków w to, że „Polska leży w Europie”, a następnym etapem są już problemy polityczne.

Warto więc sobie uświadomić, że nasz handel (na marginesie: handlując

ter sygnalizuje (często „ustnie”) biedy w funkcjonowaniu silnika, zbyt małe ciśnienie w oponach, konieczność podciągnięcia paska klinowego itd. Natomiast Japończycy podjęli produkcję rowerów wyposażonych w komputer pokładowy, pokazujący kierunek i szybkość wiatru, ilość spalanych przez rowerzystę kalorii.

Można powiedzieć, że są to ciekawostki, takie gadzety. Zgoda, ale jeśli z tej perspektywy podejmuje się próbę oceny szans eksportu naszych rowerów choćby do Chin czy Indii, smakomitych, ale nie wyposażonych w komputer (jego „mózdzek” kosztuje japońską firmę już tylko 2 dolary), przyjdzie się głęboko zadumać.

— Przedmiotem pańskich zainteresowań naukowych jest m. in. problem adaptacji politycznej. Stąd też pytanie: jaki powinien być scenariusz naszych działań, aby w tym zachodnioeuropejskim murze znalazła się choćby szczylna dla Polski i Polaków?

— Wyróżniam trzy rodzaje adaptacji. Mamy obecnie do czynienia z pierwszą, to znaczy bierną. W obliczu kryzysu istniejącego w Polsce daleko ważniejszym wydaje się likwidowanie kartek, zapewnianie sklepów, zapobieganie strajkom itd., dlatego też nie zaprzętałyśmy sobie głowy tym kryzysem, który może nadejść w momencie, gdy zaczniemy mieć kłopoty w handlu europejskim.

Drugim rodzajem jest adaptacja czynna, a nawet agresywna. Przykładem takiego podejścia są cztery „małe tygrysy” — Hongkong, Singapur, Tajwan i Korea Płd. oraz zbudzony niedawno „Wielki Smok”, czyli Chiny. Nie sądzę, żeby Polskę, opanowaną kryzysem, stać było na taki skok jakościowy, ilościowy.

Pozostaje więc ewolucja — trzeci rodzaj adaptacji — rozumiana tu jako poszukiwanie nowego punktu styczności i równowagi z Europą. Na szczęście pojawiły się symptomy nowej świadomości. Dotyczą one jeszcze głównie sfery politycznej, ale gdy zważy się strukturę państwa polskiego, można mieć nadzieję i na odblokowanie mechanizmów gospodarczych. Takim bardzo konkretnym sygnałem było przemówienie Jaruzelskiego na warszawskim spotkaniu parlamentarzystów europejskich. Był to wyraźny sygnał, że Polska miałaby ochotę uczestniczyć przynajmniej jako obserwator w Radzie Europejskiej.

— Wyprzedzili nas na tej drodze Węgrzy, zawierając z EWG układ o współpracy gospodarczej, również Czechosłowacy, podpisując umowę handlową, nie mówiąc już o NRD, która z rącej powiązań gospodarczych z RFN uważana jest za nieformalnego członka EWG. Warto by też parę słów prawdy powiedzieć o funkcjonowaniu rynku w ramach omszałej już RWPG: mało efektywnego, a za to rodzącego konflikty, wzajemne pretensje. Ale że temat to ogromny, to może przy następnej okazji.

— Konkludując: nie tylko Polakom zależy na miejscu w Europie, dobre intencje ma wiele — również uprzednio krytykowany — rządów, czego dowiodły, spłacając prywatnym bankom polskie długi, tym samym chroniąc nasz kraj przed ogłoszeniem jego bankructwa. Zapowiedziany plan konsolidacji polskiej gospodarki zbliża ją do integracji europejskiej. Najważniejszą — w rozumieniu zachodnich partnerów — sprawą pozostaje pełne ucieleśnienie idei „rozumianych pod pojęciem „okrągłego stołu”, co interpretowane jest jako warunek bycia Polski w Europie.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Zbigniew Miazga

Doc. dr hab. Ziemowit Jacek Pietraf, ur. w 1943 r., jest kierownikiem Zakładu Stosunków Międzynarodowych w Instytucie Nauk Politycznych UMCS. O jego dorobku naukowym stanowią głównie prace z zakresu prawa międzynarodowego, teorii roli międzynarodowych, teorii decyzji politycznych, adaptacji politycznej, sztucznej inteligencji w polityce (wkrótce publikacja w „Relacjach”) oraz poświęcone Chinom.

CZY POLSKA LEŻY W EUROPIE?

Rozmowa z doc. dr. hab. Ziemowitem J. Pietrasiem

kulturze, wreszcie do działań politycznych... Może jednak, zamiast obrażać się, co z wiadomym skutkiem robiono przez ostatnie dziesięciolecie, daleko słuszniej byłoby poznać się, podjąć współpracę.

— Na ile jest to jednak możliwe? Pod koniec lat czterdziestych, z nastaniem „zimnej wojny”, zbudowana została granica, która dość skutecznie podzieliła kontynent. Po obu jej stronach zaczęły funkcjonować różne systemy polityczne i gospodarcze, powstały bloki militarne, znaczone obecnością wojsk amerykańskich bądź radzieckich. Inne wartości obowiązywać zaczęły w kulturze... A pomyśleć, że parę dziesiątków lat wcześniej całą Europę przemierzyć można było bez wizy, nawet bez paszportu, wystarczył tylko bilet kolejowy...

— Mimo wszystko Europa nie dała porzucić się do końca. Sprawiała to wspólna historia, ale też wyrastająca z tych samych korzeni kultura, również obyczaj. To wszystko nie tylko łączy mieszkańców naszego kontynentu, ale również wyróżnia od zamieszkujących „resztę świata”. Bodajże Kohl powiedział, że będąc w Moskwie, wie, iż jeszcze ciągle znajduje się w Europie, natomiast nie ma już takiego wrażenia po przyjeździe do Nowego Jorku. Bo nie tylko Chiny, Japonia czy państwa afrykańskie szokują Europejczyka odmiennością obyczaju, zachowania czy reakcji ludzi, ale również — ściśle przecież powiązane ze Starym Kontynentem — Stany Zjednoczone. Co u nas jest normą np. dobrego wychowania, tam może być uważane za prostactwo. Oto z niemalym zaskoczeniem dowiedziałem się, iż używanie przeze mnie przez cały czas posłku noża i widelca, moi amerykańscy gospodarze odbierają jako próbę wywyższenia się.

— O ile zgodzimy się z tym, że Europa podzielona została w sposób sztuczny, to trudno już będzie zaprzeczyć, iż ze „wspólnych korzeni” wyrósł jakby różne owoce. Owszem, mając parę satysfakcji, z zaskoczeniem jednak zerkamy na znajdujące się po tamtej stronie „plotu” — naukę, technikę, o gospodarce nie wspominając.

— Dla wielu naszych rodaków granica między Wschodem a Zachodem biegnie wzdłuż... sklepowych wystaw. Z jednej strony pełnych towaru radującego już nawet oko, a z drugiej — pustych, smutnych. Ale to tylko symptom. Dlaczego? — spróbuję wyjaśnić na pozornie odległym przykładzie nauki, a bliżej — interesujących mnie dyscyplin społecznych.

stawka rwie do przodu. To ostatnie może akurat najmniej dotyczy państw socjalistycznych, borykających się z podobnymi do naszych kłopotami. Myślę o zachodnioeuropejskich partnerach, a bliżej — o murze, którym za lat cztery otoczą „swoją” Europę.

— Tak, 1 stycznia 1993 r. Europa Zachodnia, z wyjątkiem niektórych państw skandynawskich, ma stać się jednolitym organizmem. Jako że procesy integracji politycznej postępują wolniej niż jednoczenie ekonomiczne (Francja i RFN nie mogą porozumieć się co do przywództwa), w pierwszej kolejności utworzony zostanie, po ostatecznej likwidacji granic, wspólny ry-

nek — dla 320 milionów ludzi! Największy na świecie, jeśli nie liczyć chińskiego, w pełni zintegrowany wewnętrznie, a od świata — tu jeszcze raz przywołajmy Chiny — odgradzony wysokim murem cel i innych barier.

— Wiadomo, trudno tu znaleźć wyjście. Bo sprzedawać za kase (tzn. marne) pieniądze też nie jest rozwiązaniem. Należałoby eksportować towar, tam nie produkowany a poszukiwany. Dobrym



Fot. Waldemar Stępień

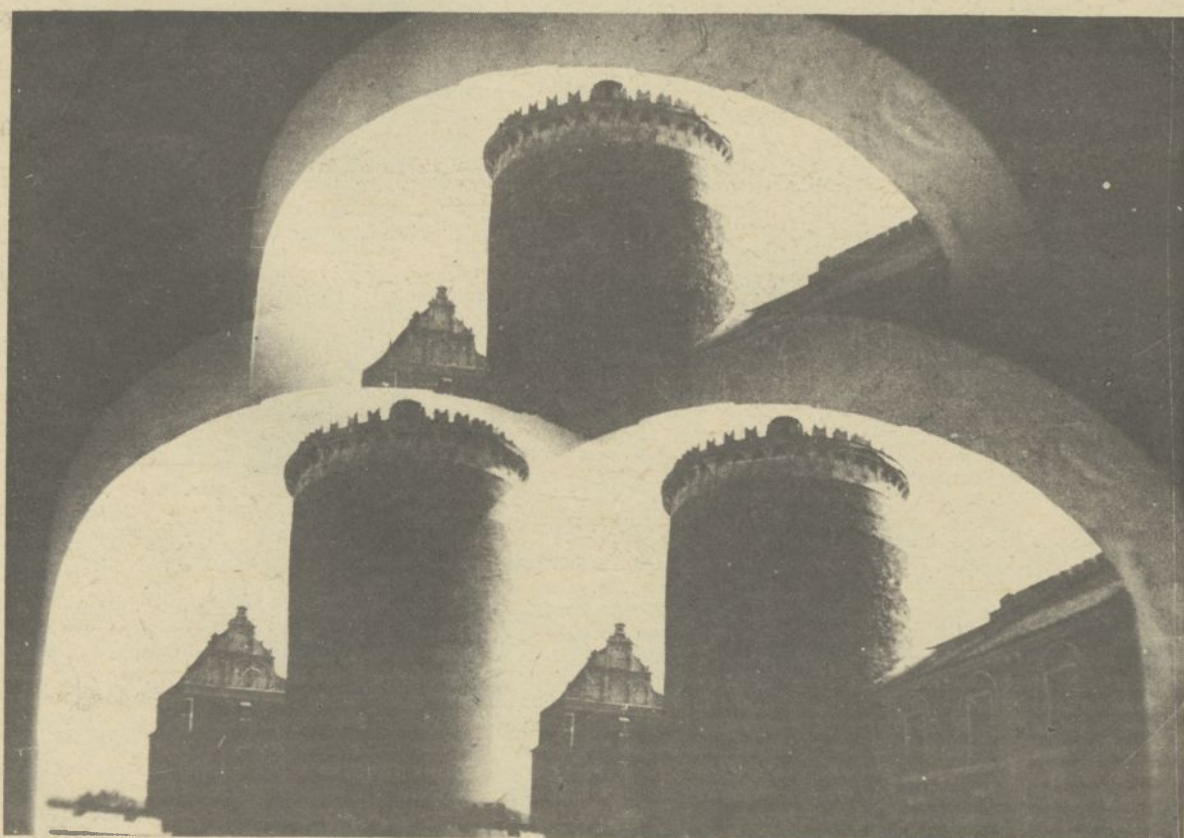
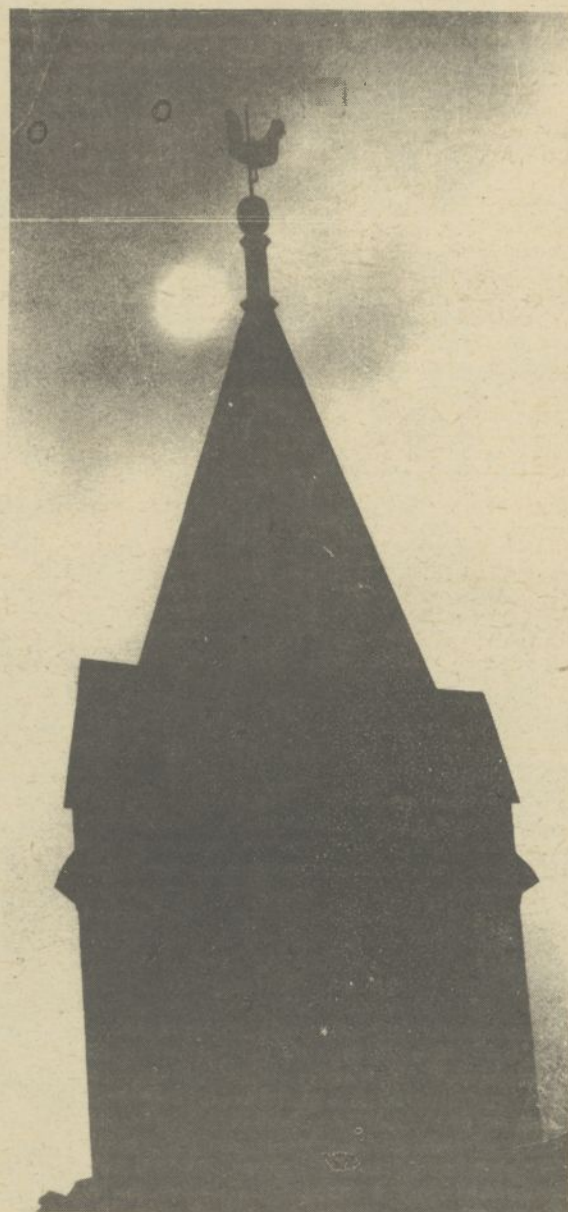
przykładem są silniki, tyle że trzeba byłoby inkasować za nie okragłe 10 miliardów dolarów.

— Jaką jest reakcja państw, które znalazły się poza tym murem; jaka Polska?

— Dla wielu rządów, szczególnie zaś dla Amerykanów i Japończyków, jest to dziś najpoważniejszy problem gospodarczy. Obserwuje się nawet pewną nerwowość w tworzeniu przedsiębiorstw filialnych, które mają się stać swoimi „końmi trojańskimi” w przyszłej zjednoczonej Europie, tam też kierowane są ogromne środki na inwestycje. Już dziś ta część świata rozwija się ogromnie dynamicznie, ponieważ

Zagrożenie drugie bierze się stąd, iż Europa Zachodnia jednoczy się również i dlatego, by stać się mocarstwem — politycznym, ekonomicznym, gospodarczym. Stąd też trwający już wysięg technologii, czego przykładem europejskie programy Eureka, ESPRIT. Powstające w zachodnioeuropejskich firmach — podobnie jak w japońskich i amerykańskich — komputery piątej generacji w sposób niewyobrażalny zrewolucjonizują świat. Choć już i dziś elektronika — bo to liczy się na rynku — nasycone są wszystkie możliwe urządzenia. W coraz liczniejszych samochodach likwidowane są kluczyki, bowiem komputer zwalnia zamek na dźwięk głosu właściciela, tenże kompu-

LUBLIN WALDEMARA STĘPNIA



KAPUŚCIŃSKI

Andrzej W. Pawluczuk

BLYSKOTLIWY, światowy sukces dwóch księzek Ryszarda Kapuścińskiego: „Cesarza” i „Szachin-szacha” nie jest dla mnie zaskoczeniem. Sporo do tej pory napisałem o tym wybitnym dziennikarzu i pisarzu, uważając, że jego twórczość nie mieści się w gorącznej repetytorce; przeciwnie — jako zjawisko artystyczne i myślowe zasługuje na coś więcej niż drugorzędną etykietkę „literatury faktu”. Tymczasem nasi krytycy z lubością wikłający się w nieistotne spory i co rusz obwieszczejący pojawienie się „wybitnej” książki, nie zauważyli, że oto wyrósł pisarz, który ma coś do powiedzenia nie tylko nam, ale również światu. Więcej: licząc obcojęzyczne wydania Kapuścińskiego, recenzje oraz obszernie o nim eseje w najbardziej renomowanych czasopiśmie Zachodu, odnosi się wrażenie, że świat słucha go z większą uwagą niż my.

Aby ocenić należycie znaczenie tego zjawiska, wiedzieć trzeba, że nie wszystko, co w sztuce dobre, a pochodzi z naszej części Europy (inaczej jest tylko, że zrozumiałych względów, z literaturą radziecką), może tam liczyć na promocję tylko dlatego, że jest dobre. Przeciwnie: droga polskiej literatury na rynki Zachodu, zwłaszcza francuski i anglojęzyczny, jest niesłychanie trudna, poprzedzona jakąś z góry powziętą niechęcią i uprzedzeniami. Tam niejednokrotnie spotykałem się z opinią cudzoziemców, że szkoda czasu na czytanie polskiej książki. Dlaczego? Po prostu tak już jest i nikt się nad tym nie zastanawia.

Polski dziennikarz przyjmowany zostaje jeszcze gorzej. Uważa się go za funkcjonariusza aparatu propagandy i urzędnika państwowego. Jak ta opinia jest zakorzeniona,

niech świadczy fakt, że szacowny „London Review of Books”, unikający zazwyczaj zacieńczenia, chwaliąc Kapuścińskiego za „nadzwyczajną kompetencję” i uznając jego wyższość nad wieloma autorami znad Tamizy, pisze o nim jednoznacznie: „funkcjonariusz państwa [...], związany z rządową Polską Agencją Prasową”. Zaś Oriana Fallaci, w wywiadzie dla „Playboya”, zapytana kiedyś o zdanie na temat polskiego dziennikarstwa, odrzekła z nonszalancją: „dziennikarstwo? — czegoś takiego tam nie ma.”

Można przypuszczać, że ten brak zaufania do wartości polskiej literatury i rzetelności polskiego dziennikarstwa (czyli brak zaufania do naszych ocen) wynika z tej samej przyczyny, co przekonanie o nieobiektywności naszej historiografii lub swoistym wykrzywieniu naszej myśli politycznej. To prawda, dwustuletnie uwikłanie w spory z naszymi geograficznymi sąsiadami zabijało w nas trzeźwe spojrzenie na sprawy własne i europejskie, a właśnie trzeźwy, beznamiętny obiektywizm jest w pojęciu Anglosasów czymś najważniejszym w piśmiennictwie o faktach.

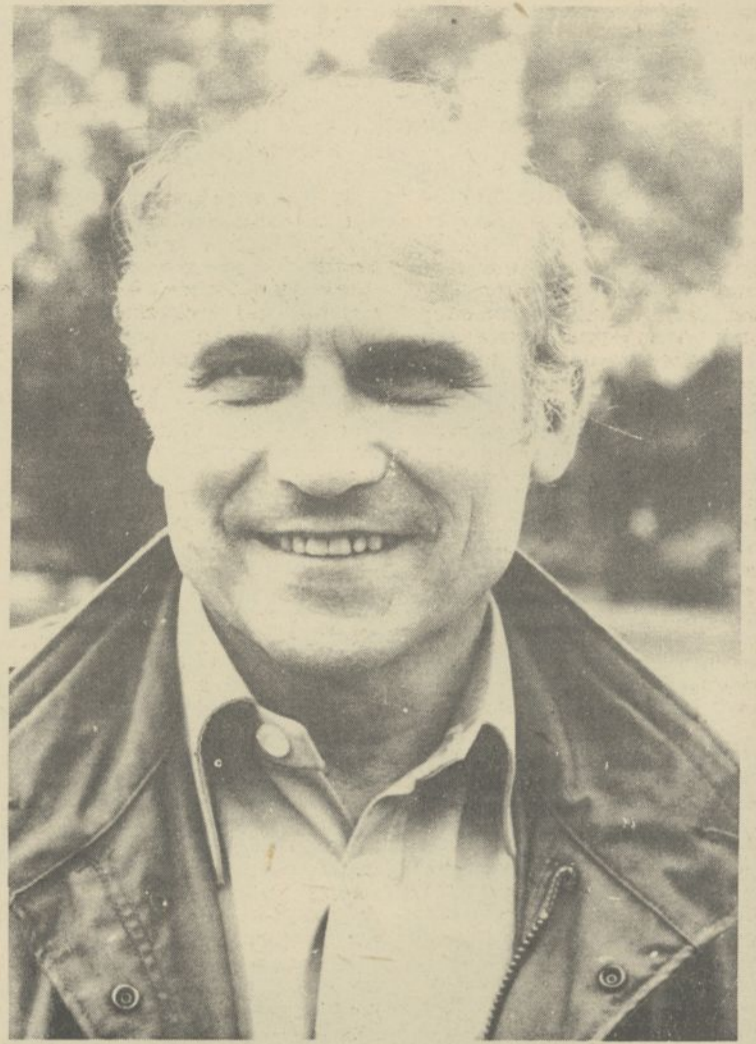
Piszę tu trochę „obok”, ale właśnie w tym przypadku kontekst polityczny okazuje się istotny. Gdyby bowiem — co podkreślono na Zachodzie kilkakrotnie — osobiste doświadczenie Kapuścińskiego było inne, gdyby nie doznał on na własnej skórze praktyk realnego socjalizmu, jego piśmiennictwo nie byłoby tym, czym jest. Gdyby nie to doświadczenie, jego kompetencja i przenikliwość co do znaczenia i oceny faktów politycznych nie byłyby tak przyniatające w porównaniu z tym, co czytało się do tej pory po obu stronach Atlantyku.

Tymczasem u nas niezmiernie rzadko zwraca się uwagę na polityczny kontekst powstawania i odbioru literatury. Sandauer dostał pamiętne bąty za swój esej o powojennej poezji, a ió, ę9 napisał o książce Orwella „1984”, jest już kompromitacją. To samo powiedzieć można o posłowie Wacława Sadkowskiego do „Folwarku zwierzęcego”. Z drugiej jednak strony, nikt nie obrusza się na to, że Adam Michnik napisał o polityce sztuce Zbigniewa Herberta, chociaż przy innych okazjach i nazwiskach znajduje się zwykle wielu chętnych, aby protestować przeciwko sprawozdaniu danej książki do jednego mianownika politycznego.

Ale przypominając stary banał, że każde dzieło jest w jakiejś mierze zawsze polityczne, trzeba pamiętać, iż owa polityczność literatury rośnie wraz ze stopniem „nienormalności”, w jakiej powstaje i funkcjonuje. W ten sposób banał staje się namacalną materią życia, i powiedzenie, że wszystko jest polityką (choćby polityka nie jest wszystkim), nabiera nagle niebanalnego znaczenia praktycznego.

Ludziom w krajach demokracji nigdy podobne myśli nie przychodzą do głowy. Ale tam, gdzie nie pozwala się na wznowienie instrukcji o obsłudze samochodów, ponieważ w rozdziałach o zepsutym silniku, złej wentylacji i wyladowanym akumulatorze policja dopatruje się aluzji do sytuacji w rządzie, nienormalność bywa najprawdziwszą normalnością. Umiejętności rozpoznania tej nienormalności oraz przełożenia jej na język i konkrety zrozumiałe dla ludzi ze świata „normalnego” zawdzięcza Kapuściński powodzenie swoich książek o totalitaryzmie.

Pamiętam, jak podczas jednego ze spotkań autorskich podał on przykład pewnej mentalności, która wymaga tego rodzaju „przekładów” kulturowych. Otóż pewna dama w Stanach Zjednoczonych, wyrażając zdziwienie, że lu-



Fot. CAF

dzi zamyka się w obozach koncentracyjnych, zapytała: czyżby nie stać ich było na dobrego adwokata? Przykładów dowodzi zatem, iż wiedząc, że gdzieś tam panuje terror, dyktatura, totalitaryzm, myślenie nasze o tym zakreślone jest pewną granicą. Granice owego myślenia wyznacza zaś prawdopodobieństwo tego, co może nas spotkać we własnym kraju. Jest to zarazem odpowiedź na pytanie, dlaczego przez wiele lat świat — mimo jednoznacznych dowodów — nie chciał uwierzyć w masową, „przemysłową” eksterminację Żydów, jakiej dokonywali hitle-

rowcy podczas ostatniej wojny.

Ale nie dlatego przecież nasza literatura tak niewiele interesuje świat, że opowiada o peryferiach i mało zrozumiałych konkretach. Peryferie, okazuje się, stają się dzisiaj coraz bardziej interesujące, ba! — modne. Oczy świata zwrócone są na nie wówczas, gdy dzieje się tam nawet coś o wymiarze lokalnym, ponieważ w dzisiejszym świecie, rządzonej przez dwa supermocarstwa, nie jest już sprawą wyłącznie lokalną. Sądzić więc należy, że idzie tu raczej o sposób przedstawie-

„NIE OBAWIAM SIĘ WOLNOŚCI GŁOSZENIA POGLĄDÓW, CHOĆBY FAŁSZYWYCH”

SZKOŁA POLSKA

Rozmowa z dr. ZYGMUNTEM LUPINĄ, nauczycielem historii w III Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Zamoyskiego w Lublinie.

— Czy współczesna szkoła polska jest w stanie wychować drugie pokolenie Kolumbów?

— Moim zdaniem, nie. Polska szkoła nie wychowuje, ona produkuje absolwentów. Nie wychowuje, bo nie ma odpowiednich nauczycieli. Nawet w najgłodszej szkole na zapadłej wsi nauczyciel może bardzo dużo osiągnąć. Jeśli chce, potrafi, ma osobowość. Patrząc z pesymizmem na swoje środowisko — jest intelektualnie słabe, bierne, zastraszone. Widzę, oczywiście, uwarunkowania tego stanu rzeczy, ale to niczego nie zmienia.

— To znaczy, że nie istnieje polska szkoła jako system wychowania i kształcenia?

— Nie mamy w tej chwili wybitnych pedagogów, nie ma eksperymentów, jakichś oryginalnych rozwiązań. Natomiast istnieje pewna szansa związana z nauczaniem historii, rozbudzoną ciekawością historyczną Polaków, interesującymi osiągnięciami badawczymi, zwłaszcza w obszarze historii najnowszej. Tak, w nauczaniu historii można sporo zrobić, mogłaby to być pewna cecha charakterystyczna polskiego szkolnictwa, jednak nie ponadto.

— Według opinii zagranicznych, szkoła hamuje awans cywilizacyjny Polaków. Stanowi to odliczenie do powszechnego poglądu, że szkoła jest w Polsce jedną z najbardziej konserwatywnych instytucji, skutecznie opierającą się reformom oraz wyjątkowo „odporną” na oddziaływanie nowych tendencji pedagogicznych płynących ze świata. Czy pan podziela te opinie?

— Nie spierałbym się, że ten konserwatyzm to wyłącznie polskie specjalne. Szkoła jest taką z istoty rzeczy. Bo, proszę zauważyć, uczymy dziecko, młodego człowieka tego, czym i jak żyje świat dziś, a on wchodzi w dorosłe życie za lat kilkanaście, gdy świat ulega daleko idącym przeobrażeniom. Zmieniają się kryteria, rewolucjonizuje się technika i obyczaje. Niech pan sięgnie po „Społeczeństwo bez szkoły” Iljicha! Tak, stanowiąc konserwatyzm jest organicznie związany ze szkołą. Natomiast w Polsce szkoła po prostu przeskądza.

— ?...

— Tak, tak! W życiu spotykałem się często z najlepszymi uczniami,

którzy mieli najwięcej nieobecności nieusprawiedliwionych, mieli obniżone stopnie ze sprawowania. To samo dotyczy klas z największą absencją — też zazwyczaj są w czołówce najlepszych. O czym świadczy fakt, że dobry uczeń nawiewa z lekcji, jak pan uważa? Otóż szkoła jest dla ucznia szara, nijaka, sformalizowana. Przeciwna i dla przeciętniaków. Nauczyciel to zazwyczaj średniak, nie rozumie i nie stara się zrozumieć swoich podopiecznych. My jesteśmy przeciętni, dobrani w negatywnej selekcji, a uczniowie to zarówno słabeuszki jak i „Einsteinowie”. Tych ostatnich nauczyciel się boi, oni są mądrzejsi i mogą ośmieszyć, obnażyć naszą słabość intelektualną. Więc używa się autorytetu formalnego: uczeń siedzi grzecznie na tyłku, a nauczyciel, wbity w garnitur, wyklada, jak nakazuje program i metodyka. Metodyka określa nawet, jaki dystans należy zachować między nauczycielem, a uczniem — trzy metry!

— W jednym z wywiadów znany pedagog prof. Heliodor Muszyński mówił o wyobcowaniu szkoły ze społeczeństwa, zamienieniu jej w urząd, gdzie rodzice są potentami...

— ... a uczniowie robotnikami w rygorze ponad ośmiogodzinnym. Są atakowani faktami, datami, masą zbędnych szczegółów, często jest to zwykły bełkot. Czy rozwijamy u uczniów takie umiejętności formalne jak choćby: notowanie, prowadzenie dyskusji, przemawianie; słowem — posługiwanie się intelektem, ćwiczenia go? Czy wyrabiamy wrażliwość na piękno, dobry gust, przekazujemy im wartości etyczne? Nie! W zamian poddaje się młodzież indoktrynacji. Szkoła polska jest instytucją przygotowującą do życia w systemie totalitarnym.

— Co pan przez to rozumie?

— Ze szkoła może dostarczyć pewnej wiedzy, wykształcić fachowca, ale przeważnie takiego, który nie ma własnego zdania, nie ma poglądów, wątpliwości, wyznaje oficjalny system wartości. Tymczasem ten system, mimo szczytnych założeń ideowych, w praktyce bywa antyhumanistyczny, demoralizujący. Na przykład pojęcie równości — naczelna idea socjalizmu. Moralnie bardzo pozytywna, a w rękach biurokratów prowadzi do uniformizmu. Rzeczywistość obiektywnie rodzi nierówność, tylko że w naszych warunkach jednostki wybijające się intelektualnie czy ekonomicznie są traktowane jako zagrożenie dla fałszywie pojętej sprawiedliwości społecznej. Albo idea walki klasowej — jak wiele niszczących skutków przyniosła ze sobą? Młodzieży to jest dziś zupełnie obojętne, ale wielu nauczycieli wciąż orientuje się na kryteria klasowe, na usprawiedliwianie moralnie złych czynów rzekomo wyższymi koniecznościami. To poszukiwanie „drugiego dna”, które nie istnieje. Bo albo coś jest etyczne, albo nie jest. Prawda nie staje się fałszywa dlatego, że się o niej nie mówi. Niech się pan zastanowi, co stało się z takimi pojęciami, jak honor czy miłosierdzie — tak mocno osadzonymi w polskiej tradycji i świadomości. Zostały wyparte przez nowomowę i praktyki urzędowania idealów socjalizmu.

— Wygląda pan na kategorię sądów na temat socjalizmu, a przecież sam pan go budował. Ba, był pan stalinowcem...

— Czy byłem stalinowcem, tego nie wiem. Prawda jest, że byłem komunistą w czasach stalinizmu. Owszem, nawet dzwoniłem w dzwony na Wieży Trynitarzkiej w dzień pogrzebu Stali-

nia realiów, przełożenia ich na język, który byłby przez świat zrozumiany. Wreszcie — co niebagatelne! — zobaczenie w tych prowincjonalnych realiach jakiegoś uniwersalnego znaczenia.

W związku z „Szachinazchem” można mieć do powyższego rozumowania pewne zastrzeżenia. Iran wzbudzał emocje całego świata, ponieważ leży w rejonie wielkiej ropy. Amerykanie mają zaś szczególne powody do interesowania się Iranem, dlatego ta książka została przez nich tak dobrze przyjęta. Powiedzmy — zgoda. Ale przedtem napisal Kapuściński przeciw „Cesarzowi”, którego wydano w kilkunastu językach, w Ameryce również. Ta książka, mówiąca bez wątpienia o peryferiach, stała się także przeobrażeniem — jak policzył w „Polityce” Adam Krzemiński — poświęconemu jej na świecie przeszło tysiąc recenzji i szkiców. Zatrzymajmy się więc przy tej książce, która od razu stała się wydarzeniem dużego miaru artystycznej i poznawczej.

„Cesarz”, przełożony najpierw na angielski i wydany w Stanach Zjednoczonych i Anglii, niewiele później zaś jeszcze w kilkunastu krajach (w tym po francusku, niemiecku, włosku i hiszpańsku) — jedynym i słynnym został przez krytyków za dzieło wybitne. Najbardziej liczące się czasopisma po obu stronach Atlantyku nie zalały miejsca na obszerne recenzje i szkice, które zamawiały u znanych, wybitnych pisarzy tej miary, co John Updike czy Philip Knightley. W londyńskim „Time Out” książka Kapuścińskiego znalazła się na pierwszym miejscu listy bestsellerów, a znany „Sunday Times” ogłosił „Cesarza” książką roku 1983.

„Oczywiście — pisał w „Polityce” Adam Krzemiński — krytycy zachodni chętnie dopatrywali się w „Cesarzu” jedynie opowieści z kluczem do upadku Gierka. Ale gdyby ta książka doprawdy tylko tyle w sobie kryła, to „Cesarz” szybko popadłby w zapom-

nienie. Tymczasem okazał się przypowieścią uniwersalną, w której każdy widział coś innego, co go samego trapi. I dlatego już sama geografia i sposób odbioru „Cesarza” są ciekawe”.

Na ogół więc krytycy, skupiając zasadniczą uwagę na polskich realiach i aspektach tej książki — co zrozumiale — pisali jednocześnie, iż odczytywanie jej wyłącznie jako zwykłej aluzji politycznej byłoby uproszczeniem. Na przykład Claude Roy tak pisał w renomowanym „Le Nouvel Observateur”: „Wielcy przywódcy lubią być bezwzględni, ale nie bez zachowania pozorów: palka, owsem, ale przypudrowana konstytucją [...] Dziennikarstwo Kapuścińskiego jest pisarstwem, które ma dobre ucho, żywe oko, żywe pióro i ten polski humor, który zaczyna być właśnie uznawany [dosłownie: „celebrowany”]. Zasluguje on na to, aby go we Francji poznać i docenić. Kapuściński zrobił w Polsce oszałamiającą karierę: czytelnicy polacy nie czytali wyłącznie kroniki afrykańskiej, ale — między wierszami — czarną parodię swojej białej historii. Jest to oczywiście zupełnie niesprawiedliwe: Edward Gierk nie jest Hajle Sellasje, a budynek Komitetu Centralnego w Warszawie nie jest absolutnie pałacem imperialnym w Addis Abebie. Kiedy minister Króla Królów zwierza się Kapuścińskiemu: »Na ulicy policja ochrania mnie przed własnym synem, który manifestuje i rzuca kamieniami«, to czy również w Polsce nie można tak pomyśleć o dość licznych ministrach, których wyparły się własne dzieci?»

Ale parę wierszy dalej, jakby opamiętując się w tym zbyt uproszczonym odczytaniu „Cesarza”, francuski krytyk dodaje: „Sam Kapuściński nie unika złośliwości, które są w końcu do przyjęcia; pisarstwo i analiza bez hamulców byłoby przecież równie anachroniczne jak to, co działo się w absolutystycznej monarchii etiopskiej. Toteż

pisarz nie może nie odcinać się od rzeczywistości, jeżeli przekracza ona to, co dzieje się w Komitecie Centralnym”.

Zacytowałem tę opinię by pokazać, że „Cesarz”, mimo swej szalonej prostoty, stanowi w gruncie rzeczy twarzą orzech do zgryzienia. Oto, powiada się, jest tam niby opisana Polska, ale przecież stanowczo nie jest to jednak Polska. Niby to Abisynia, ale również niezupełnie. Toteż ci krytycy, którzy nie chcieli się wkiwać w roztrząsania polityczne, skupiali się na literackich walorach książki. Przychodziło im to zdecydowanie łatwiej niż nam, w Polsce, gdzie do arcydzieł literatury światowej porównywano np. książki Drzeżdżona, ale nikt nie odważył się powiedzieć tego o piarstwie Ryszarda Kapuścińskiego.

I tak na przykład we włoskiej „Unicie” porównano „Cesarza” z dziełami Diderota, Woltera i Jana Potockiego. Anglicy powoływali się na satyrę Swifta, Niemcy — przypominali „Proces” Kafki, pisarstwo Alberta Camusa oraz dziennikarskie zaangażowanie króla reporterów, czyli Egonu Erwina Kisch, który nie bał się ryzykować życiem, zbierając materiały do swojego pisania. Amerykanie, dla odmiany, stawiali Kapuścińskiego w jednym rzędzie z Trumanem Capote i takimi klasykami „nowego dziennikarstwa” jak Tom Wolfe i Norman Mailer.

Niekiedy jednak, jak wspomniany wcześniej Knightley, nie ukrywali zdziwienia, że książka, napisana przez autora z komunistycznej Europy, może powiedzieć coś interesującego ludziom Zachodu. Zatrzymajmy się przy opinii tego pisarza. Jego recenzja jest znamienna dla zjawiska, które opatrzyć można tytułem „Kapuściński a reszta świata”. Jest tu bowiem echo tradycyjnego niedowierzania wartościowym powstaniem w naszej części świata, a zarazem charakterystyczna dla Brytyjczyków otwartość i su-

mierność w docenianiu tego, co rzeczywiście na to zasługuje.

W „Sunday Times” Philip Knightley pisał: „Ryszard Kapuściński przyjeżdża jutro do Wielkiej Brytanii zaprezentować swą książkę. Richard jaki? No dobrze, jeżeli zdolamy na chwilę zdławić nasze uprzedzenie wobec pisarzy, którzy nie przybyli z jednego lub drugiego brzegu Atlantyku, to możemy przeżyć zdumiewającą przygodę literacką [...]. Zwroćmy uwagę na słowa palacowego faworyta wyrażającego zdumienie, że outsiderzy zaczęli się niepokoić głodem w Etiopii (»mówią między nami — nie jest źle dla lepszego porządku i większej pokory podwładnych naród odchrząknąć, wygłodzić«). Czy ten argument nie brzmi znajomo, czy w nieco innym sformułowaniu nie stanowi usprawiedliwienia dla niektórych polityków i ekonomistów, prywatnie opowiadających się za bezrobociem? Czy Kapuścińskiemu zależało na tych skojarzeniach, czy też może wyczuujemy z jego »tekstów«, jak sam określa swoje piarstwo, nie zamierzone przez niego odniesienia? On sam twierdzi, że stara się ukazać niepokoję epoki post-industrialnej, utratę kontroli człowieka nad władzą oraz miejsce jednostki w społeczeństwie nie tak znów bardzo odległym. Pewien polski krytyk powiedział o jego książkach »starają się dotrzeć do źródeł przecucia, że wszyscy utraciliśmy kontrolę nad własnym losem«.

O ile pamiętam, żaden polski recenzent nie poszedł w swoich analizach tak daleko jak Knightley, zapewne dlatego, żeby nie zostać posądzonym o wysługiwanie się doraznej propagandzie politycznej. Do roku 1980 (a recenzowano u nas „Cesarza” w latach 1978–79) teoretyczna doktryna socjalizmu nie przyznawała w Polsce miejsca takim rzeczom, jak wyobcowanie jednostki, alienacja pracy i władzy czy pogarda władzy wobec poddanych. Ba, napisano wiele książek i

artykułów o tym (celował tu zwłaszcza Tadeusz M. Jaroszewski), że coś takiego nie może się u nas zdarzyć, ponieważ mamy w Polsce socjalizm.

Teraz jesteśmy mądrzejsi, ale jest to przysłowiowa mądrość po szkodzi. Jeżeli bowiem w literaturze nie zostanie coś powiedziane wówczas, gdy jest ku temu odpowiedni czas, nie zostaje zazwyczaj powiedziane w ogóle. Luka, spowodowana brakiem pewnych tematów i kwestii, o czym pisali Kornhauser i Zagajewski w „Świecie nie przedstawionym”, staje się w ten sposób negatywnym „dorobkiem” następných pokoleń. Utrwała się świadomość, że niektóre sprawy istnieją poza literaturą i oficjalnym życiomyślowym.

Celowo wyostrzam problem, ponieważ w eseju Knightleya widać jak w zwierciadle rzeczy, które ograniczają nasze horyzonty umysłowe. Na co dzień nie zdajemy sobie sprawy z tego, a i mamy raczej bardzo dobre mniemanie o sobie. Ale te przykłady światowego odczytania książki, która została napisana w Polsce przez polskiego pisarza i miała w kraju kilka wydań, są chyba jednoznaczne i mówią same za siebie. Otóż jeżeli odrzucimy nawet oczywiste zbieżności między dworem cesarskim w Abisynii a gmachem Komitetu Centralnego w Warszawie, to przecież odczytanie przez Zachód „Cesarza” okazuje się głębsze, bardziej bogate i uniwersalne. Bardziej wszechstronne, bardziej bezlitosne i dla totalitaryzmu, i dla każdej w ogóle władzy, ponieważ rządzenie w każdym kraju polega w gruncie rzeczy (co przyznaje „liberalny” Knightley) na podległości jednych wobec drugich, którzy są w zdecydowanej mniejszości.

(cdn.)

(Fragment książki o piarstwie Ryszarda Kapuścińskiego, przygotowanej do druku).

na. Dostaliśmy z Komitetu Miejskiego PZPR spis księgi i instrukcje: „Opanować wszystkie dzwony!” Poszliśmy do katedry w czterech idźwoniłymi... Nie, nie płakałem, ale byłem bardzo smutny, przejęty. Byłem przeciw aktywistom młodzieżowym i partyjnym, robiącym błyskawiczną karierę. Dostałem się na studia z dyplomem przedownika nauki, po pół roku przeflowałem do partii — w tamtych czasach! Szybko zostałem przewodniczącym uczelnianego zarządu ZSP i ZMP. We wsi, z której pochodziłem, byłem drugim chłopakiem, który dostał się na studia. Pierwszy został adwokatem przed wojną, ale jego ojciec sprzedał prawie całą ziemię. Dla mnie — syna formala, wychowanka domu dziecka — czy nie był to awans utozamiony z władzą ludową? Kojarzyłem to jednoznacznie, cieszyłem się. Kiedy budowano ZOR Zachód — wolałem z zapalem na akademiami: „Stalin — Bierut — Rokossowski!”.

Chciałby pan wiedzieć, czy wytrzymałem z partii ludzi? Głosowałem za usunięciem kolegów. W kilku przypadkach, jak sądzę, przyczyniłem się do tego. W jednym, na przykład wystańczyła negatywna wypowiedź na temat towarzysza Mazura... Nie byłem może wielkim rygorystą ideologicznym, ale za to byłem nietolerancyjny wobec łamiących regulamin studiów. Wie pan: „Wytężona nauka — naszym władzem w budownictwo komunizmu”. Organizowaliśmy trójki aktywne (oczywiście zakomspirowane) na każdym roku i wylapywało się śpiących, nieobecnych, nie nazbyt pilnych na zajęciach. Potem delfinowie mogli obejrzeć swoją podobiznę z odpowiednim komentarzem na scenie „Blyskawicy”. Oczywiście w końcu wyszła na jaw ta nasza „robota” i zapewniam pana, że nie chcę tego pamiętać... Pozostały urazy w ludziach, a mnie

wyrzuty sumienia. Wstydę się, ale muszę mieć odwagę o tym mówić, to mi daje siłę i stała potrzeba spłacania długu wobec siebie i innych.

— Nie miał pan wątpliwości? Nie słyszał o lagrach, o prześladowaniach? Czy wszyscy ślepo wierzyli?

— Oczywiście, że nie wszyscy. Traktowaliśmy ich jednak jako jednostki antyspołeczne. Słyszałem o różnych rzeczach, ale nie wierzyłem w nie. Ważne było dla komunisty źródło, a nie treść informacji. Uniósł mnie fala entuzjazmu, rozbudzona młodzieńcza ambicja sprostaną — jak wierzyłem — wielkim wyzwaniem czasu. Partia zresztą wiedziała lepiej...

— A potem przyszedł Pałdźdzernik, a z nim rola lubelskiego Gołdźka. To był początek pańskiej kariery opozycjonisty?

— Ależ skąd! Ja występowałem na wiecach jako rewizjonista partyjny, chciałem nowej partii, doskonalszego socjalizmu. Popierałm przeciw Gomulke. Dopiero likwidacja „Po Prostu”, pisma, które przetrzało mo drogę do władzy, spowodowała zwrot w moich poglądach. Oddałem legitymację partyjną, a byłem jeszcze studentem i już II sekretarzem KU PZPR. Z wolna z partyjnego reformisty zacząłem stawać się opozycjonistą...

— ... co doprowadziło pana do „Solidarności” i Internowia. Jak pan z perspektywy siedmiu lat ocenia ten etap?

— Myślę, że „Solidarność” wypełniła swoje przeznaczenie, wpisane w istotę tego ruchu i ówczesne warunki. Uważam też, że popamiętaliśmy sporo błędów. Można było zrobić więcej, wiele rzeczy inaczej. Mogliśmy pozyskać więcej sojuszników, ale do pewnych inicjatyw odnosiłm się lekce-

ważąco, czuliłm się silni. Niemniej jako ruch społeczny obroniliśmy się, wnosząc do świadomości społeczeństwa wiele trwałych wartości.

— „Solidarność” lansowała — i nadal to robi chociaż jako struktura zdelegalizowana — koncepcję upolitecznienia oświaty. A przecież władzę państwa zachowuje dominującą pozycję w szkolnictwie, także w sferze własności, „Culus regio, elus religio”. Jak zatem pan sobie wyobraża to upolitecznienie? Jakiej szkoły Pałacy potrzebują?

— Nie powinna to być szkoła jednolita, niezmiennie tylko zróżnicowana. Myślę o szkołach zarówno państwowych, spółdzielczych, jak i prywatnych, miejskich itd. Wiąże się to z koncepcją tzw. szkoły autorskiej, monotematycznej, o ścisłej specjalizacji organizowanej na zasadzie kontraktu przez fachowca — pedagoga. Otrzymuje on środki od dysponenta, przedstawia program i angażuje odpowiednich nauczycieli. Państwo, finansujące szkołę, zachowuje wpływ na pożądane kierunki kształcenia, na ilość i jakość przyszłych fachowców. Poza tym jego rola polegałaby na dokonywaniu prognoz, ekspertyz (auratoria), prowadzeniu działalności wydawniczej, zapewnieniu pomocy szkolnych, a nie „ręcznym sterowaniu” nauczycielami.

— Szkoła apolityczna?

— Absolutnie nie chcę apolitycznej szkoły, jeśli społeczeństwo jest politycznie zróżnicowane. Jeśli dyrektor zdejmując jeden portret, a zawieszając inny, to już to jest polityczne. Nauczyciele siłą rzeczy wciągają uczniów w sprawy dorosłych. Chodzi o to tylko, by nie posługiwali się młodzieżą, nie zmuszać jej, lecz stwarzać możliwości wyboru, przedstawiać te możliwości. Dzisiaj nie da się już niczego zadekretować poprzez naciski i strach.

Władza domaga się odpowiedzialności społeczeństwa, ale odpowiedzialność rodzi się wtedy, gdy istnieje możliwość podjęcia suwerennej decyzji. Zniewolenie umysłu ucznia i nauczyciela jest okrucieństwem społeczeństwa na pokolenia.

— Pan ma poczucie jakiejś misji? — Może jestem nadgorliwy jak każdy neofita? Być może czuję, że mam coś do odrobienia, mówięm panu. Na pewno czuję się dłużnikiem młodzieży. Te zasuszone bukiety, które pan widzi, to jest pamiętka z okresu internowania. Zostawiali je na kłame... Wie pan, ja mam sporo tych dowodów aprobaty i to jest najcenniejsze w mojej pracy. Trudna to praca, staje się codziennie przed stukilkudziesięcioma ludźmi, trzeba wazyć słowa i gesty, jest się pilnie obserwowanym. Jeśli nauczyciel boi się być sobą — przegrzyna. Zawsze!

— A pan czego się obawia? Poraził?

— Nie obawiam się dyskusji, polemiki, nie przeraża mnie nawet obrucanie epitetami. Pociąga mnie kocion intelektualny — nasze miły i kompleksy scierali się zawsze w mlynie sporów, to jest konieczne i dziś. Nie obawiam się wolności głoszenia poglądów, choćby fałszywych. Boję się jedynie, czy jesteśmy w stanie potencjalne szanse wykorzystać, czy jesteśmy do wolności przygotowani? Mówiliśmy o edukacji, i to nie jest tak, że tylko władza nie chce zmian: społeczeństwo też się ich boi. Społeczeństwo polskie jest konserwatywne. A my potrzebujemy zmian bardzo głębokich. Z kryzysu ekonomicznego możemy się wydobyć w ciągu kilku lat, z kryzysu oświaty — z całą pewnością znacznie później.

— Dziękuje za rozmowę.

Rozmawiał: Leszek Wisniewski

WSAMOTNEJ willi w pobliżu wsi Dragoslavele w Alpach Transylwańskich — przeżywając goręcy kłękli wrześnie, internowania, odsunięcia od władzy — marszałek Rydz-Smigły pisał wiersze. Powstał cały cykl rumuński; później, po ucieczce marszałka na Węgry, powstał cykl węgierski.

Dość powszechnie wiadomo o talentach malarskich Edwarda Rydza-Smigłego; o tym, że był uzdolnionym pejzażyście, absolwentem krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Mało kto wie natomiast, że we wczesnej młodości był on dobrze zapowiadającym się poetą. Tak przynajmniej sądzono w jego rodzinnych Brzeżanach, gdzie Edward Rydz uczęszczał do gimnazjum.

"Pana Edwarda Rydza pamiętam z mych młodych lat — napisze w 1984 roku w książce „Wojny — lasy — ludzie” Rajmund Scholz. — Był artystą malarzem, współzawodniczył ze swym kolegą gimnazjalnym, a moim stryjem Rajmundem, w pisaniu wierszy i w pracy nad utrzymaniem polskiego stanu posiadania na naszych tamopolskich kresach". Chodzi tu zapewne o okres, kiedy Edward Rydz pełnił przez pewien czas

Urodził się Edward Rydz w Brzeżanach 11 marca 1888 r. Pochodził z rodziny ubogiej. Jego ojciec, Tomasz Rydz, plutonowy 7 pułku ułanów austriackich, zmarł, kiedy Edward miał dwa lata. Matka, Maria z Babiaków, pracowała fizycznie. Osierociła syna w osiem lat później. Chłopiec wychowywał się odąd u swego dziadka po kądzieli, Jana Babiaka, niegdysiejszego uczestnika Wiosny Ludów, który teraz pracował jako robotnik w rzeźni dorabiając do skromnej pensji jako dozorca.

Na temat pochodzenia Edwarda Rydza-Smigłego snuto w latach jego największych sukcesów życiowych różne legendy. Polemizuje z nimi w sposób przekonywujący Ryszard Mirowski, autor wydanej ostatnio (Warszawa 1988) książki — „Edward Rydz-Smigły. Działalność wojskowa i polityczna”. W tej właśnie książce znajduje się m. in. bogaty materiał na temat brzeżańskich lat Edwarda Rydza oraz jego studiów akademickich w Krakowie. (Notabene, wkrótce ukaże się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego kolejna książka dotycząca postaci marszałka Smigłego, „Kwatera 139. Opo-

stwierdzi — pozbyć się „arty-stycznej miękkości”, która może rzutować na jego działalność konspiracyjną, polityczną, wojskową. A poza tym — studia malarskie zajmują zbyt wiele czasu. O wiele „wygodniejsze” są w tym względzie studia filozoficzne (tak przynajmniej sądzi), więc przenosi się na wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ostatecznie, po pewnym czasie — wrócił na Akademię Sztuk Pięknych. Resztę studiów odbył pod kierunkiem profesora Józefa Pankiewicza. W roku 1913 otrzymał dyplom.

W kwietniu 1914 r. „Smigły” (taki pseudonim wybrał sobie w początkach pracy konspiracyjnej) został redaktorem odpowiedzialnym miesięcznika „Strzelec”, który wówczas zaczął wychodzić, ale zamieszczał tam artykuły o tematyce wojskowej, a nie wiersze.

Niezwykle utalentowany młody oficer robi błyskawiczną karierę w 1 Brygadzie Legionów. Wkrótce staje na czele 1 pułku piechoty; staje się postacią legendarną, jedną z najbliższych osób w otoczeniu Komendanta, Józefa Piłsudskiego. Kiedy na przełomie 1915 i 1916 r. oddziały legionowe skierowano poza linie

Edward Rydz - Śmigły

Bez tchu są słowa i bez treści.
Są one tylko błędnym cieniem,
Co się posuwa za milczeniem.
Słowo to liść, co zaszleści,

Gdy wiatr, jak słomę, las wyrывa.
To kropla dżdżu na skrzydle ptaka,
Co ognistego chce blask krzaka
Odbić, gdy Bóg się w nim ukrywa.

Gdy noc bezsenna po dnia męce
Na pierś twą nowy ciężar strąca,
Nie znajdziesz pośród słów tysiąca —
Choćbyś miał słów tych pełne ręce —

Nie znajdziesz słowa, które może
Jednego zamknąć ból westchnienia.
Więc ciszą modłę się milczenia:
Niech się Twa wola spełni, Boże!

KIEDY RANNE WSTAJĄ ZORZE...

Nie czekam od poranka zdrowia
ni świeżości,
Ni radosnej nowiny, ni przeczuć uśmiechu,
Ani przybycia miłych upragnionych gości,
Ani objawień świętych, ani pokus grzechu.

Wiem, że ranek jutrzejszy
będzie taki samy,
Jak dzisiaj i jak wczoraj,
i jak już dni tyle,
Jak ten szyldwach,
stojący na straży u bramy,
Jak kamienie przydrożne,
umurzane w pyłe,

Znaczące odległości drogi zapomnianej,
Co nigdzie nie prowadzi.
A jednak wstać trzeba
W ten poranek,
co żadnej nie przyniesie zmiany,
Choć ustroił różami cały błękit nieba.

A więc wstaję i patrzę na dzień,
co nadchodzi,
Tak jak koń na chomąto,
tak dobrze mu znane,
Które mu nakładają tak samo i co dzień,
Mimo że ma rozkrwawioną
wciąż tę samą ranę

O Boże Wielki, coś wykreślił loty
Gwiazdom i ludzkiem duszom przeczaczenie
I jako człowiek zdradą Iskarioty
Poznałeś, jakie ludzkie jest cierpienie,

Który przegładasz na wskroś nasze życie,
A gdy czas przyjdzie, gasisz je swą ręką,
Tak jak o świcie blask gwiazdy
w błękitie —
Który nas darzysz radością i męką...

O Boże, jeśli wina ciąży na mnie,
To niech Twa wola sprawiedliwości czyni,
Lecz nie ta szajka ojczyzniana kłamnie
I nie ta zgraja kupcząca w świątyni!

POETA: RYDZ-ŚMIGŁY

Mirosław Derecki

funkcję komendanta komórki Związku Strzeleckiego w Brzeżanach.

W gimnazjum sądzono, że Edward Rydz ma przed sobą karierę artysty malarza. Od wczesnych lat chłopiec prawie nie rozstawał się ze szkicownikami. Rysował i malował swe pierwsze pejzaże. Cała okolica tego powiatowego, położonego niewiele ponad sto kilometrów na południowy wschód od Lwowa miasteczka, była niezwykle malownicza. Dolinę Złotej Lipy otaczały w tym miejscu niewysokie góry: Storozesko, Jaryszków, Lysonia i Kastelówka. W pobliżu rozciągały się kompleksy leśne — „Mażerowiec, Dżwiniań i Zapust Lwowski — wspomina Rajmund Scholz — a tam masa uroczysk, łączek, strumieni, jarów i bogatej przyrody Opola Podolskiego, silnie falistego i wilgotnego, a obfitującego w zwierzyńca, w rybne rzeki i liczne stawy. W takiej to krainie dożyłmy 1914 roku, roku pierwszej wielkiej światowej wojny. Z Brzeżan wysłał do stacji kolejowej w Potuorach kompania „Strzelca” w sile ponad stu ludzi. W ich liczbie był malarz artysta Edward Rydz”.

Same Brzeżany były nie mniej piękne od okolicy, która je otaczała. Miasto, założone w 1530 r. przez Mikołaja Sieniawskiego, leżało u stóp zamku obleganego niegdyś przez Tatarów; na wzgórzu, otoczonym potężnym murem, wznosił się piękny kościół parafialny pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny, wzniesiony przez Adama Hieronima Sieniawskiego w roku 1600. Piękny był także kościół ormiański. W tym właśnie kościele zawieszono nad ołtarzem obraz Matki Boskiej, namalowany przez młodego artystę Edwarda Rydza.

Na przełomie XIX i XX w. Brzeżany były miastem zasobnym, dobrze zorganizowanym, posiadającym spore grono światłej inteligencji: lekarzy, adwokatów, nauczycieli gimnazjalnych... Wielka Powszechna Encyklopedia Ilustrowana, wydana w 1893 roku, określa ludność miasta na ponad jedenaście tysięcy osób. Informuje też, że mieści się tam: „starostwo, sąd obwodowy i powiatowy, poczta i telegraf, parafia łacińska, grecka, gimnazjum 8-klasowe, kilka szkół ludowych i wydziałowych, browar, 2 młyny, 1 tartak, 2 folwarki...”. W mieście, poza Polakami i Rusinami, była spora kolonia żydowska, a także ormiańska.

wieść biograficzna o Edwardzie Rydzu-Smigłym” pióra Cezarego Leżeńskiego, której obszerne fragmenty drukował niedawno „Szandar Ludu”).

Edward Rydz wiele w życiu zawdzięczał obcym ludziom. Kiedy zaczął uczęszczać, kosztem ogromnych poświęceń ze strony dziadków, do brzeżańskiego gimnazjum św. Anny, wziął go do swego domu miejscowy lekarz, dr Uramowicz, ojciec szkolnego kolegi, Edmunda Uramowicza, i uważał odąd Edwarda za swego przybranego syna.

Inteligentny, utalentowany artystycznie młodzieniec chętnie był przyjmowany w kulturalnych brzeżańskich domach: Barzykowskich, Widmanów, Schätzlów... To właśnie Stanisław Schätzl, burmistrz Brzeżan i poseł na sejm galicyjski, z zawodu adwokat, wspierał Edwarda Rydza finansowo, kiedy podjął on studia w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Gimnazjalista Edward Rydz malował pejzaże, próbował sił w karykaturze, interesowała go także tematyka patriotyczna — okres Powstania Styczniowego. Jeżeli chodzi o zainteresowania literaturne, to — jak większość rówieśników — cenil przede wszystkim Mickiewicza i Słowackiego. Rozczytywał się też zapewne w poetach młodopolskich, bo jego wiersze z ostatniego okresu życia noszą wyraźne młodopolskie piętno.

W 1905 r. Edward Rydz zdał z odznaczeniem maturę (choć podczas nauki w gimnazjum uzyskiwał stopnie raczej przeciętne) i rozpoczął studia w Krakowie, w Akademii Sztuk Pięknych. Początkowo — w pracowni Leona Wyczółkowskiego; na drugim roku — u Teodora Axentowicza. Znajdował się wówczas, jak pisał Ryszard Mirowski, „pod urokiem Paula Cézanne’a i innych Francuzów”. W 1910 roku przeżywał Edward Rydz w Monachium, Norymbberdze, w Wiedniu, gdzie, wzorem wielu ówczesnych młodych malarzy, czas spędzał w muzeach i galeriach malarskich.

Wcześniej, w 1908 r., wstąpił w Krakowie do Związku Walki Czynnej, założonego przez Kazimierza Sosnkowskiego. Wtedy właśnie zrobił ów pierwszy, decydujący krok, który miał go zaprowadzić w przyszłość na zawrotne wyżyny kariery wojskowej i politycznej.

To właśnie wówczas, w 1908 r., Edward Rydz decyduje się na przerwanie studiów malarskich. Chce — jak sam po latach

frontu na dłuższy wypoczynek, Edward Rydz-Smigły, choć jest dowódcą pułku, stale współpracuje z obowozym piśmem, noszącym tytuł „Konferencja Pokojowa”.

Przechodzi okres kryzysu przysięgowego; okres działalności konspiracyjnej, kiedy Smigły staje na czele Polskiej Organizacji Wojskowej; dni Rządu Lubelskiego i fotele ministra wojny; potem kilkuletnie walki o granice Polski... I wreszcie, połowa lat trzydziestych: zwycięzca spod Kijowa, bohater wojny polsko-bolszewickiej 1920 r., general Edward Rydz-Smigły po śmierci Józefa Piłsudskiego zostaje Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych. 10 listopada 1936 r. otrzymuje stopień generała broni i tego samego dnia prezydent Mościcki wręcza mu buławę marszałkowską. Gdyby doszło do wojny, czeka Rydza funkcja Naczelnego Wodza.

Malarsko jako profesja nie interesowało go już od chwili otrzymania dyplomu Akademii Sztuk Pięknych. Po prostu swoje życiowe zainteresowania skierował w zupełnie inną stronę. Co do literatury, to... 7 września 1935 r. przyjął Rydz-Smigły protokół nad Polską Akademią Literatury i w tymże dniu przez PAL, Wacław Sieroszewski złożył na jego ręce, wraz z Juliuszem Kadenem-Bandrowskim, insygnia Akademii — „Gwiazdę akademicką”.

Nawiasem mówiąc, Kaden-Bandrowski miał później wytknąć pewnego dnia marszałkowi, że nie zajmuje się on w sposób należyty sprawami kultury polskiej. Uczynił to podobno w sposób kwiecisty a dosadny; w stylu frontowo-legionowym.

Do pisania wierszy, do poezji, do szukania w niej pocieszenia i otuchy miał powrócić Edward Rydz-Smigły dopiero w roku 1940, w zamkniętej zewsząd górami rumuńskiej dolinie, nad rzeką Dimbovita szumiącą u stóp zbocza, nad którym wznosiła się otoczona polem z kołczastego drutu willa patriarchy Christen Mirona, byłego rumuńskiego premiera.

Bez tchu są słowa i bez treści. Tak rozpoczyna się jeden z pierwszych wierszy, napisanych przez marszałka Smigłego w Dragoslavele, w 1940 r. A może to w ogóle jego pierwszy wiersz z „cyklu rumuńskiego”?

Dokończenie nastąpi

„Tradycji pisarstwa historycznego lat pięćdziesiątych »zawdzięczać« należy ukształtowanie szkodliwych stereotypów”

JAKA POLSKA, JAKA WŁADZA?

Janusz Wrona

WBADANIU najnowszych dziejów Polski i propagowaniu wiedzy na ten temat istnieją określone trudności. Piętnaszczę z nich jest dotychczasowy stan historiografii PRL, objawiający się m.in. istnieniem luk (białych plam), tj. problemów w znieruchomionym stopniu podejmowanych i propagowanych przez badaczy. Drugą trudnością stanowi system edukacji szkolnej w odniesieniu do powojennych dziejów Polski. Łączy się on ściśle z modelem historiografii kształtowanym przez kolejne dziesięciolecia, gdy badanie dziejów najnowszych miało dostarczać argumentów historycznych dla bieżącej walki politycznej, prowadzonej przez poszczególne ekipy władzy.

Jeden z wybitnych znawców problematyki, prof. Zenobiusz Kozik na łamach „Polityki” (nr 57 z 17 XII 1988 r.) tak ocenił współczesny dorobek piarstwa historycznego w odniesieniu do dziejów PRL: „Wiele tematów z historii Polski Ludowej należy badać od nowa, mimo że niektóre są jakoby badane. Liczymy na otwarcie archiwów, ciałe jeszcze czekamy. [...] Bardzo długo, przez wiele lat, chyba ostatecznie dopiero się to zmienia, politycy narzucają jednak historykom swoje poglądy. Jako poglądy normatywne i jako ostateczne. Przypomnijmy sobie choćby tzw. tezy na 30-lecie Polski Ludowej czy stulecie polskiego ruchu robotniczego i dyskusje nad wieloletnią historią tego ruchu. No i ten klimat. Byli historycy, którzy wyznaczyli sobie tematy i nazwiska historyczne — jakże ubyli i jakże przybyły — z referatów politycznych, by szybko upowszechnić je w dydaktyce, w wielonakładowych księżkach. [...] Na tej normatywnej historii [...] przygotowywano całe generacje adeptów historii”.

Próbując odpowiedzieć na pytanie, jaka jest sytuacja w badaniach najnowszej historii Polski, można też posłużyć się opinią innego znawcy problemu, prof. Zbigniewa Landaua, który stwierdził: „historia PRL jest generalnie trudno dostępną, a tylko niektóre tematy można już badać. Istnieją problemy z dostępem do źródeł i do ograniczenia literatury. Istnieją inne ograniczenia. Słownikiem tej sytuacji, a także dodatkową słabością, jest uciekanie w przyczynkarstwo, unikanie ujęć syntetycznych” („Mówią Wieki”, 1985, nr 11, s. 34).

Na współczesny stan świadomości historycznej Polaków określony wpływ wywarło awoiste modelowanie historii najnowszej za pomocą dyrektyw politycznych, apoteozowane niedostatkami warsztatowymi prowadzonych badań. Tradycje piarstwa historycznego lat pięćdziesiątych »zawdzięczać« należy ukształtowanie szkodliwych stereotypów, funkcjonujących do dnia dzisiejszego w świadomości części społeczeństwa. Najnowsze dzieje kraju zamienione wówczas w zwłargaryzowaną historię ruchu robotniczego. Fajawła się pogarda dla faktów, fałszowanie źródeł i brutalne ingerowanie w podłoże historyczne w celu osiągnięcia doraźnego efektu politycznego.

W znacznej części prace z tamtego okresu zjawiska gospodarce i społecznie nie były traktowane jako punkt wyjścia analizy, lecz jako materiał wspomagający argumentację propagandową. Moralizowano i dążono do ferowania jednoznacznych ocen politycznych. Rzeczową analizę zastąpiło ucieczką do „praw obiektywnych”.

Ten model badań i piarstwa historycznego do dzisiaj ma swoich zwo-

lenników. W efekcie — jak pisał prof. Roman Wapiński — „dość często spotykamy się z następującym de facto wywodem: mimo abstrahowania od realnie występujących zjawisk zajęte stanowisko służyło obiektywnie... itd.” („Historyka”, 1977, t. 7, s. 51). Ten sposób argumentacji uwidocznili się nie tak dawno w niektórych artykułach poświęconych 40-tej rocznicy zjednoczenia ruchu robotniczego.

W pracach naukowych oraz w publicystyce rozpowszechnił się język i oceny wyjęte ze źródeł historycznych: prawdziwie demokratyczny, postępowy, radykalny, reakcyjny, antyrządowy, pravicowy, opozycyjny, antyradziecki itd. Tego rodzaju określenia, wyjęte z dokumentów, wypowiedziane niejednokrotnie w ferworze ostrej walki politycznej, część historyków i większość publicystów traktowała na równi z ocenami merytorycznymi, będącymi rezultatem poznania historycznego.

Z metodologicznego punktu widzenia nie do przyjęcia jest również maniera pouczenia bohaterów badanych i opisywanych wydarzeń, częsta w pracach poświęconych dziejom klasowego ruchu robotniczego oraz powojennego ruchu ludowego. Imperatyw współczesnego piarstwa historyczno-naukowego stanowią otwartość i świadomość względności sądów oraz konstatacji, przeciwstawne dydaktyzmowi i kategoryzacji osądów.

W tych warunkach żywa jest tendencja do reinterpretacji dziejów najnowszych Polski. Potęguje ją zwiększenie się liczby podmiotów badawczych oraz tworzący się pluralizm instytucjonalny badań, a także pluralizm różnych szkół metodologicznych, umożliwiający wielostronne podejście do tematu, ściąganie się poglądów i dyskusje naukowe. Próby nowego spejznerowania na dzieje PRL opierają się na programowym sceptycyzmie wobec dotychczasowych ustaleń, zwłaszcza zaś ocen wartościujących.

Wspomniany prof. Z. Kozik już na początku lat osiemdziesiątych proponował, by zmienić wyjściową pozycję interpretacyjną historyka: „Pozytywie można określić jako zwycięzcy. Oznacza to, że dzieje Polski Ludowej ujmowane są w kategoriach zwycięstwa, nie uwzględniając upadków, starć i porażek, przeciwników politycznych przedstawiając w niekorzystnym, często fałszywym świetle [...] Pisać z pozycji zwycięzcy [...], ale z całym poznanowaniem prawdy wraz z oddaniem czci i pełnym zrozumieniem intencji zwyciężonych” („Z pola walki”, 1981, nr 3-4, s. 350).

Podstawowym warunkiem zrozumienia dziejów państwowości polskiej po II wojnie światowej jest postępowe ukazujących genezę i funkcjonowanie w układzie wewnętrznym i międzynarodowym polskiej Partii Robotniczej działającej w kraju oraz grupy polskich komunistów w ZSRR, skupionych w Centralnym Biurze Komunistów Polskich w Moskwie i Związku Patriotów Polskich. W obu ośrodkach tworzyły się i krystalizowały poglądy na temat modelu ustroju politycznego wyzwolonej spod okupanta hitlerowskiego Polski.

Zdobycie decydującej pozycji w kraju przez polskich komunistów w drugiej połowie 1944 r. postawiło na porządku dziennym problem określenia systemu politycznego z jego najważniejszą częścią, tj. systemem partyjnym.

Analiza polskiego systemu partyjnego była domeną politologów zajm-

ujących się teoretyczną lub modelową stroną systemu politycznego PRL. Tymczasem proces odbudowy legalnego życia politycznego po 22 lipca 1944 r. skupia niczym soczewka najważniejsze, węzłowe elementy politycznej i społecznej rzeczywistości powojennej Polski, w tym problem zdobycia i utrzymania władzy przez komunistów, powstanie i porażkę legalnej opozycji, spory o kształt ustrojowy Polski, wyłanianie i funkcjonowanie elit przywódczych czy wreszcie nadawanie określonych treści i ram pojęciu demokracji.

Geneza i funkcjonowanie systemu wiąże się z koncepcjami stworzonymi w środowisku polskich komunistów w latach 1943-1944. Piętnaszczę próby aspirowania przez PPR do udziału w rządach opierały się na uznaniu konstytucyjnego legalizmu, będącego prawnym oparciem funkcjonowania rządu RP w Londynie. W początkach 1943 r. nastąpił proces dojrzenia nowych koncepcji programowych, który trwał aż do wyzwolenia kraju. Na ewolucję PPR duży wpływ wywarła zmieniająca się sytuacja międzynarodowa i wewnętrzna Polski: zerwanie przez ZSRR stosunków z rządem RP w Londynie, fiasko rozmów z Delegaturą, sukcesy militarne Związku Radzieckiego, a także zarysowujące się coraz wyraźniej kontury nowych rozwiązań politycznych w Europie.

Jesienią 1943 r. kierownictwo PPR podjęło decyzję powołania organu mającego być w zamierzeniu ogólnonarodową reprezentacją polityczną. Zasady funkcjonowania tego organu, czyli Krajowej Rady Narodowej, precyzował „Manifest demokratycznych organizacji społeczno-politycznych i wojskowych w Polsce”. Koncepcja KRN oraz terenowych rad narodowych — w odróżnieniu od zamkniętej zasady Krajowej Reprezentacji Politycznej (później Rady Jedności Narodowej), stanowiącej przedstawicielstwo obozu londyńskiego i zaldadającej dominację czterech głównych partii politycznych (PPS, SL, SN, SP) — stanowiła otwarte ugrupowanie, dopuszczające współdziałanie wszystkich sił cywilnych i wojskowych walczących z okupantem hitlerowskim.

W rzeczywistości poza przedstawicielami komunistów znaleźli się w składzie KRN jedynie działacze grup opozycyjnych Stronnictwa Ludowego i Robotniczej Partii Polskich Socjalistów. Krajowa Rada Narodowa powstała i działała, mimo że kierownictwa największych i wpływowych ugrupowań politycznych odcięły się od tej inicjatywy. Dramatycznie ograniczyło to bazę oddziaływania KRN.

Radykalny organ ruchu ludowego, tzw. grupa „Woli Ludu”, popierający koncepcję KRN, powstał z inicjatywy Polskiej Partii Robotniczej, która odezwiała Antoniego Korzyńskiego i Władysława Kowalskiego do pracy przy tworzeniu nowego ośrodka ruchu ludowego, alternatywnego w stosunku do jego głównej siły, tj. Centralnego Kierownictwa Ruchu Ludowego „Roch”. Realizacja w praktyce głównego założenia grupy „Woli Ludu” nie zakończyła się sukcesem, wobec czego latem 1944 r. ludowcy i komuniści skupieni w PKWN, który pełnił także funkcję międzypartyjnego ciała porozumiewawczego, uzgodnili sprawę budowy oddzielnego Stronnictwa Ludowego, będącego głównie kontynuatorem tradycji radykalno-rewolucyjnej Niezależnej Partii Chłopskiej i Związku Ludowo-Chłopskiego „Samopomoc”.

Również włączanie przywódców lewicowej partii socjalistów, działającej wówczas pod nazwą Robotniczej Partii Polskich Socjalistów, będącej obok PPR najpoważniejszą partią polityczną tej części ruchu robotniczego, która zajmowała krytyczne stanowisko wobec rządu RP w Londynie, odrzuciła koncepcję KRN i terenowych rad narodowych w wersji stworzonej przez komunistów.

W liście przywódców RPPS do KC PPR z 9 lutego 1944 r. napisano: „Porozumienie to może nastąpić jedynie na płaszczyźnie równoprawnej, a nie monopartii czy hegemonii jednej partii tego bloku”. Tak więc nagłębienie bezwzględnej dominacji Komunistów w KRN nie uzna władze leń potencjalnych sojuszników i partnerów.

Taktycznie i propagandowo zręczna odpowiedź kierownictwa PPR unikła właściwie dyskusji nad meritum problemu. Stwierdzono bowiem, iż w ramach KRN nie może być mowy o hegemonii czy monopoli jednej partii, ponieważ na to nie zerwała statutu KRN”.

Przywódcy RPPS, oceniając dotychczasową działalność PPR oraz dostrzegając poparcie, jakim cieszyła się ona w Moskwie, wyraźnie obawiali się dominacji komunistów w tworzoną układzie politycznym i ze szczególnym naciskiem jąkali naciekowaniem w teori i praktyce zasady równoprawności partii komunistycznej i socjalistycznej.

Świadomość wąskiej bazy politycznej KRN skłaniała Władysława Gamałkę do podjęcia działań dla jej poszerzenia. W tym kierunku szły też sugestie G. Dymitrowa i CBKP w Moskwie. Sekretarz generalny KC PPR był gotów do zmiany nazwy KRN, by osiągnąć porozumienie z lewicowymi socjalistami i organizacjami skupiającymi demokratów. Wywołano to sprzeciw B. Bieruta i innych członków kierownictwa partii (później, jesienią 1948 r., stanie się to jednym z zarzutów politycznych postawionych W. Gomułce).

Historycy musi jednak zauważyć, że wąska baza polityczna KRN wynikała przede wszystkim z realnego układu sił w kraju i niechęci do komunistów wszystkich czołowych ugrupowań politycznych, jakkolwiek pewne znaczenie dla wydarzeń miały różnice zdań w kierownictwie PPR na temat szerokości frontu narodowego.

Wizja ustroju politycznego państwa, reprezentowana przez komunistów, nigdy nie nawiązywała do wzorów państwa liberalno-demokratycznego. „Jeśli w latach 1944-1946 znalazły się w oświadczeniach przywódców PPR oświadczenia wskazujące, że partia akceptowała obowiązywanie po 1944 r. konstytucji 1921 r. czy jej fragmentów — piszą K. Działocha i J. Trzczyński w pracy „Zagadnienie obowiązywania konstytucji marcowej w Polsce Ludowej 1944-1952” — to było to wynikiem przede wszystkim taktyki i strategii politycznej oraz uwzględnienia faktu, że dokumenty prawne już posługiwały się formułą o obowiązującym podstawowych zasad konstytucji marcowej”. Docelowym wzorem polskich komunistów było państwo radzieckie.

Drugim, istotnym dla powojennych dziejów, ośrodkiem, gdzie krystalizowały się poglądy na temat modelu ustrojowego Polski, było środowisko polskiej lewicy i polskich komunistów w ZSRR. Ale to będzie tematem następnego rozważania.

(cdn.)

„SZLACHETNE PORNO” CZYLI WIELKIE NIC

A CIAŁO stało się słowem... Nie. To nie jest żadne qui pro quo, lecz literackie credo twórcy polskiej „różowej serii”, Zbigniewa Nienackiego.

Kontynuując swe mesjanistyczne posłanie wywabiania narodu z ciemnoty i zabobonu, dał Nienacki ludowi kolejne dzieło życia — „Wielki las”, a rolę mecenasa tak wybitnego artysty przejął po PIW-cie lubelski oddział Krajowej Agencji Wydawniczej. W tym jednak miejscu kończą się żarty, a zaczynają schody.

„Świat przedstawiony” w powieści to pseudo-literacka parada wygodniactwa samców i owładniętych seksem kobiet. Świat, gdzie nawet drzewa chore są na leśny syfilis, a podstawę komunikacji językowej stanowią słowa: „jebać”, „rznać”, „pierdolić”, „członek”, „pracie”, „krocze” itd., itp.

Byłoby jednak nieuczciwością twierdzić, że „Wielki las” to tylko „wielkie rznięcie”. Nic nie występuje tu bez przyczyny. Stąd „centralny gmach seksu” podbudowany jest „misternym” konglomeratem dendrolatrii (kult drzew), nowych przygód kapitana Kłos-

sa, „miłości wielkiej, czystej i prawdziwej” oraz kolejnych wstrząsów społeczno-politycznych w kraju. Brzmi to jak sen pijanego idioty, ale taka jest „powieściowa” prawda.

Jeszcze raz (por. „Skirolawki”) autor tak lubianych przez dzieci i młodzież „Samochodzików” zaprzagnął udowodnić wszem i wobec, że można zbudować dom, a dopiero później dopasować do niego fundamenty. I w pewnym sensie udało mu się tego dokonać.

Stowarzyszenie Księgarzy Polskich przyznało Nienackiemu nagrodę literacką za rok 1987, a przewodniczący Zarządu Głównego SKP w uzasadnieniu werdyktu jury powiedział: „Książki tego autora są sprzedawane szybko i bez problemów. Jest w nich interesujący język, spora dramaturgia, a nie ma taniej dydaktyki”.

Panowie księgarze! Ja rozumiem, że skomercjalizowany rynek sezonowych atrakcji rządzi się swoimi prawami, ale, na litość Boską, nie nazywajcie swej nagrody literacką! Powieść (?) to należałoby rozpatrywać raczej jako zjawisko socjologiczne, a nie wydarzenie artystyczne w świecie

jej krajobrazem — jedynym i niepowtarzalnym. I takie właśnie płótna można oglądać w lubelskim Muzeum.

Ekspozycje dtwierają prekursory tego kierunku, a wśród nich Jan Feliks Piwarski, znamienny przedstawiciel malarstwa pejzażowego, prezentujący także życie chłopów, co było nowym tematem malarskim. Właśnie on, wraz z Franciszkiem Kostrzewskim, jako jeden z pierwszych podjęli wędrówkę po kraju, by utrwalić folklor chiłpski i niepowtarzalny krajobraz.

W następnej części wystawy zaobserwować możemy ciąg dalszy tej przygody z naturą, tj. rozkwit i zmierzch malarstwa krajobrazowego. Znajduje się tutaj obraz Józefa Szermentowskiego, uznanego za najbardziej europejskiego malarza tamtych czasów oraz płótno Henryka Rodakowskiego („Kobieta miedziąca len”), tym ciekawsze, że Rodakowskiemu znamy głównie jako portreciście. Obok — obraz Leona Wyczółkowskiego, impresjonistycznie malowane „Kopanie buraków”. W tej samej sali znajdują się również: portret pędzla Piotra Michałowskiego; z tajemniczą symboliką obrazy Jacka Malczewskiego; piękne pejzaże

literackim. Tym bardziej, że konfrontacja wybujałych oczekiwań z tym, co można przeczytać, wypada błado, żeby nie powiedzieć: żalostnie.

Jest to typowa tandeta, pomyślana jako tania rozrywka dla dość niewytrawnego i prymitywnego myślowo czytelnika. Toteż nie widzę powodów, dla których warto tracić czas i pieniądze (700 zł), aby się o tym przekonać. Bowiem po przeczytaniu tego „arcydzieła” nie pozostanie nam nic innego, jak tylko wizja członka i to w pozycji „spocznij”.

Stary Kisiel w jednym ze swych felietonów przytoczył taką oto anegdotę: „Był kiedyś przed wojną broszurki zatytułowane „Pat i Patachon”. W jednym z nich przed sądem odbywał się taki dialog: Sędzia: — Czym się pan zajmuje? Patachon: — Jestem artystą, żyję sztuką. Sędzia: — Jaka jest pańska sztuka? Patachon: — Nabieram frajerów. Sędzia: — To przecież nie jest sztuka! Patachon: — Nie sztuka? To niech pan sędzia sam spróbuje!”

Nienackiemu to się udało. Pozostaje jednak pytanie: na jak długo?

Zbigniew Dzięciołek

Zbigniew Nienacki: *Wielki las*, KAW, Lublin 1988, wyd. II.

Wojciecha Gersona i wreszcie Włodzimierza Telmajera (bohatera „Wesela” Wyspiańskiego), rozmiłowanego w folklorze — „Wesela krakowskie”. Jest również uderzający w swej prostocie „Pastuszek” Stanisława Lenza.

Obrazów tu dużo, bo około 60, i trudno byłoby wymienić wszystkie. Ale jeszcze o twórcy jednym specjalnie. Osobne miejsce na tej wystawie zajmuje prezentacja malarstwa Józefa Chelmońskiego — artysty, który szczególnie ukochał krajobraz polski i dostrzegł jego odrębność. Mając fenomenalną pamięć, mógł — będąc na studiach w Monachium — malować z pamięci krajobrazy kresowe, trojki, przydrożne karczmy. Przywołajmy choćby obraz zatytułowany „Sójka”, gdzie słyszalną niemal ciszą burzy śnieg spadający z galezi, na której przed chwilą usiadł ptak. Jest też wspaniały „Krzyż w zadymce”, w swoim delikatnym klimacie przypominający obrazy wielkiego malarza romantycznego, Caspara Dawida Friedricha.

Wystawa „Polska — kraj ojczysty” czynna będzie przez okres około dwóch lat.

Violetta Krasnowska

INFORMATOR KULTURALNY

TEATR

W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy: 19—21.01 godz. 18: „Belleme polskie” Lucjana Rydla; reż. Andrzej Rozhin. 24—29.01 godz. 18: „Swajczaria” Chrysto Bojczewa; reż. Georj Czarkałow.

Teatr Lalki i Aktora:

19—20.01 godz. 10: „Rumcajs” Ernesta Brylla; reż. Wojciech Kobrzyński. 21—22.01 godz. 12: „Don Juan”, anonim czeński; reż. Tomasz Jaworski.

Teatr Muzyczny

23.01 godz. 18: Dom Kultury LSM (ul. Wallenroda 4a): „Kotka przemieniona w kobietę” oraz „Salon pana Wdęckiego” Offenbacha; reż. Lech Emfazy Stefanski.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

21.01 godz. 16.30 w sali widowiskowej ZPW „Biavena”: „Raj eskimosów” Bogusława Schaefera; wyk.: Grażyna Jakubowska i Jan Wojciech Krzyszcak.

MUZYKA

W LUBLINIE

Filharmonia — 20—22.01 bajka muzyczna Sergiusza Prokofiewa „Piotruś i wilk”. Wykonawcy: orkiestra PFL pod dyrykcją Ryszarda Komorowskiego; soliści: Danuśa Damięcka (sopran), Mieczysław Dawidowicz (fortepian). Udział biorą także opowiadający o zwierzętach Hanna i Antoni Gucwiński oraz aktor lubelskiego teatru, Henryk Gońda.

PLASTYKA

W BIAŁEJ PODLASKIEJ Od 18.01 w BWA wystawa rzeźby „HAJNOWKA 88” (dorobek pleneru rzeźbiarskiego); otwarcie nowej Galerii Sztuki Współczesnej.

W CHELMIE

W sali lustrzanej WDK od 15.02 czynna będzie wystawa prac chełmskich artystów.

W ZAMOŚCIU

BWA — do 3.02 czynna będzie wystawa malarstwa Ludwika Jabzłosa.

ROZRYWKA

Kabaret

27.01 w Hrubieszowie, 28.01 — w Lublinie, 29.01 — w Cnелиe, program „Wspomnienia z izby otrzeźwień” zaprezentuje Krzysztof Daukszewicz, potrafiący udanie łączyć ironię z refleksją. Blizszych informacji zasięgnąć można, dzwoniąc pod nr 55-44-06 lub 55-32-38 (Agencja „Koncert Es-13”).

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

24.01 godz. 18.30 w sali widowiskowej ZPW „Biavena” wystąpi Kabaret „Długi”.

W CHELMIE

19.01 godz. 20 w sali widowiskowej WDK recital Krystyny Prońko, natomiast o godz. 22 spotkanie z piosenkarką w klubie „Kwadrat”.

20.01. godz. 17, 19, 21 — sala widowiskowa WDK — Radiowy Klub Maształski.

21.01 godz. 11 w sali widowiskowej WDK — Ogólnopolski Turniej Tańca Towarzystwa.

21.01 godz. 21 i w WDK występ zespołu „Nočna Zmiana Bluesa”.

A TO POLSKA WŁAŚNIE

SZCZEŚLIWYM wydarzeniem dla Lublina stała się wystawa malarstwa, zorganizowana w Muzeum Lubelskim na Zamku pt. „Polska — kraj ojczysty”. Szczęśliwym z wielu względów. Dla nas, mogących te obrazy obejrzeć w Lublinie, ale także dla Muzeum Narodowego w Warszawie, współorganizatora tej ekspozycji, przygotowującego się do kapitalnego remontu. Lubelskie Muzeum wykorzystowało sytuację, zwracając się z prośbą o wypożyczenie części zbiorów celem zorganizowania wystawy malarstwa pejzażowego XIX wieku, do czego okazji stanowiła 70 rocznica odzyskania niepodległości.

Jedną z inicjatek tego pomysłu ze strony Muzeum Lubelskiego była Teresa Libuchowa, zaś scenariusz wystawy, w tym dobór obrazów, jest dziełem pracowniczki Muzeum Narodowego — Janiny Zielińskiej i Zofii Styczynskiej.

Bardzo odmienna to wystawa od innych, organizowanych z tej samej okazji — spokojne, nastrojowe malarstwo, mające duże znaczenie dla kształtowania się w nie istniejącej Polsce świadomości narodowej. Ten nurt wyróżnił a pragnień Polaków, z poczucia ogromnego związku z ziemią ojczystą,

KRÓTKI TEKST O ZABIJANIU

Dokończenie ze str. 3

Dla milicjanta monotonia litanii o krzywdotwórczej roli kolegium, z chwilą gdy przeszła w postukiwanie nożem w oparcie jego siedzenia, była sygnałem, że nie ma żartów. Zatrzymuje pojazd. Wstaje i chce przejść na tylnie siedzenie, aby uspokoić Bieleniewicza. Wówczas otrzymuje pierwsze cios. Gdy osuwa się na ramię „pasazera” — drugi. Z przebitej aorty wytryskuje krew. Pozorant przez chwilę leży w ramionach Bieleniewicza. Ten odsuwa go i pokazuje, jak chciał wysiadać przez tylne drzwi. Były zamknięte. Przeszedł do przodu. Wysiadł. Od razu skrzył w prawo, w pole. Pobiegł przed siebie.

• Długoletni fachowiec służby kryminalnej i dochodzeniowo-śledczej (prywatnie i bez nazwiska do gazety):

— Jeżeli jest prawdziwy, przebieg zdarzeń, o jakim mowa, oraz to, co pisała prasa, nie można pozbyć się refleksji, że plutonowy wykazał zbyt duże zaufanie do swoich możliwości i umiejętności. Nie przeskakał Bieleniewicza po zatrzymaniu. Gdyby to zrobił, znalazłby nóż. Potem umieścił zatrzymanego z tyłu za sobą, a przedtem zrezygnował z ewentualnej po-

mocy właściciela roweru w konwojowaniu. Może to wskazywać, że dobrze znał Bieleniewicza, lecz sytuacja była szczególna; zatrzymany miał świadomość konsekwencji kradzieży i chciał ich uniknąć. Ponadto był po alkoholu...

• Był może kontrast i emocjonalny wymiar nieszczęścia w porównaniu z ewentualnymi (i domniemywanymi) „błędami w sztuce” plutonowego, są tak duże, iż nie powinno się w ogóle o nich mówić. Życie jednak składa się ze szczegółów, z których jedno pozostają dla jego toku bez jakiegokolwiek znaczenia, a inne — mogą ten tok przerwać. I to już ma swoje znaczenie. Bolesne i tragiczne. Wydaje się, że samo przesądzenie o dostatecznej roli prewencyjnej piątego przykazanania („nie zabijaj!”) nie zawsze bywa wystarczającą gwarancją.

• Wizja ma się ku końcowi. Jerzy Bieleniewicz stoi teraz obok UAZ-a. W tle — pola bez śniegu, nagie drzewa przydrożne. Wyszło słońce. A on opowiada monotonnym głosem z podlaskim zaśpiewem, co było dalej. Uciekając z szosy, dotarł do zabudo-

wań rolniczych w Niemojkach. Tam na strzyżku obory spędził część nocy i cały następny dzień do godziny dziewiętnastej. Kiedy się już ściemniło, poszedł polami do Łysowa, swojej wsi. Do domu nie wszedł, bo spodziewał się tam milicji. W oborze schował nóż. Dlaczego go nie wyrzucił? Był może raczej ma kierownik masarni, gdy mówi, że Bieleniewicz był do swego namiętności pracy przywiązany. Tak bardzo, że nie pozwalał dotykać go nikomu. Poszedł do Tokar, gdzie przespał kolejny dzień. Nocą z 6 na 7 stycznia poszedł do Ciempigroza. O 2.30 wszedł do pociągu. Wysiadł w Siedlecach. Tam w godzinach rannych rozpoznał go (na podstawie listu goźnego) funkcjonariusz SOK. Bieleniewicz rzucił się do kolejnej ucieczki. Ostatniej.

• O godzinie 10.53, 13 stycznia 1939 roku wizja lokalna zostaje zakończona.

• Na stop-klatce magnetowidu zbliżenie twarzy Jerzego Bieleniewicza. Patrzy przed siebie. Wydaje się jeszcze chudszy niż na początku filmu. Myśli, że gdyby realizacja potrwała dłużej, na koniec „bohatera” już by nie było w ogóle. Rozmyłby się w nija-

kości i banały doprowadzonym do absurdu. Takiego, jakim jest nóż noszony przy sobie i pieczęlowanie owinięty w gazetę. Chroniony i zachowywany nawet wtedy, gdy może właściciela doprowadzić do celi śmierci. Miał być może bronić Jerzego Bieleniewicza przed światem, w którym najpoważniejszymi zagrożeniami wydawała się złość żony z powodu nie przyniesionych zakupów i kolegium do spraw wykreoszeń. Nawet po zatrzymaniu w Siedlecach, po przynajmniej się do zabicia milicjanta, powiedział: „Białem się, że mi zrobi kolegium”. Również dziś, kiedy — zdawałoby się — część emocji powinna była opaść lub przejść w inną, bardziej wysublimowaną formę, Bieleniewicz mówi z uporem, że zabił, bo bał się kolegium. On nie neguje samego czynu, lecz ponad nim stawia tamten swój strach. Znam się jakby nie przysięmować do wiadomości następstw czynu i proporcji innego strachu, jakim powinien być dziś owładnięty.

• Mówi się, że śmierć jest wielką tajemnicą, że tajemnica ta powalana na kolana najtęszych myślicieli, że wraz z rozsypywaniem i objaśnianiem jej sensu rozdziły się nurty nauki...

• Ludzie, ja chcę do innej szkoły! Ja nie chcę odrabiać lekcji na szesie do Niemojek!

Waldemar Piasecki

TV

CZWARTEK

19 STYCZANIA

Program I

8.35 Domator: Nasza poczta; Spróbuj... potrafić; Szyjemy 8.50 Domowe przedszkole 9.15 DT — wiadomości 9.25 „Dempsey i Makepeace na tropie” (8) — serial prod. ang. 10.15 Domator: To się może przydać 10.45 „Encyklopedia zakopańska” (13) — „Nauciarstwo” (2) 10.55 Domator: Kładziemy glazurę (3) 16.00 Program dnia i DT — wiadomości 16.05 Telewizyjny informator wydawniczy 16.25 Dla młodych widzów: Kwant oraz film z serii „ZOO — 2000” 17.15 Teleexpress 17.30 Hełmani polscy — woj. progr. hist. 17.55 Telewizyjny film dok. „Trynidad” 18.30 Sonda

18.50 Dobranoc: Pająk Chwał, wszystkich brat 19.00 10 minut 19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy 19.30 Dziennik tv 20.05 „Dempsey i Makepeace na tropie” (8) — „Cel — nieznan”, serial prod. ang. 20.55 Pegaz 21.50 Studio Sport: Miśtrzość Europy w jeździe figurowej na lodzie 23.00 DT — echa dnia 23.00 Język francuski (12)

Program II

16.55 Język francuski (12) 17.25 Program dnia 17.30 O nową szkołę 18.00 Program lokalny 18.30 Magazyn „102” 19.00 Muppet show, czyli rewia gwiazd Steve Martin 19.30 Puls 20.00 Przeboje Bogusława Kaczyńskiego — Loda Halama 21.00 Ekspres reporterów 21.30 Panorama dnia 21.45 Ankieta Ireny Dziedzic 21.50 Kino Studyjne Dwójki: „Marty” — film fab. prod. USA; reż. Delbert Mann. 23.20 Komentarz dnia

PIĄTEK

20 STYCZANIA

Program I

8.35 Domator: Nasza poczta; Kuchnia świata 8.50 Domowe przedszkole 9.15 DT — wiadomości 9.25 DT — dodatek gospodarczy 9.40 „Zona dla Natalii” (cz. I) — film fab. prod. ZSRR. 16.00 Program dnia i DT — wiadomości 16.05 „Kolcebrzeg i cokolice” — film dok. 16.25 Dla młodych widzów: „Rambit” — teleturniej 16.50 Dla dzieci: Odkienko Pankracego 17.15 Teleexpress 17.30 Telewizyjny film dok. „Arthur Grottger” 18.00 70-lecie odzyskania niepodległości — „Zacofani czy nowoczesni?” 18.50 Dobranoc: Sąsiedzi 19.00 10 minut 19.10 Monitor rządowy 19.30 Dziennik tv 20.05 Pclski film telewizyj-

ny: „Rzeczpospolitej dni pierwsz...” reż. Roman Wionczek. 21.50 Studio Sport: ME w jeździe figurowej na lodzie 22.50 Czas — magazyn publicystyczny 23.25 DT — echa dnia 23.40 Świat jaki jest: „Wewnątrz brytyjskiej bomby” — film dok. prod. ang.

Program II

17.25 Program dnia 17.30 Wzrockowa lista przebojów Manka Niedźwieckiego 18.00 Program lokalny 18.30 Magazyn „102” 18.50 Polska Kronika Filmowa 19.00 „W labiryncie” (3) — „Gdzie jest lancet” — serial TVP 19.30 Dookoła świata — „U Polaków w Urugwaju” 20.00 Magazyn „Piątek” 21.45 Ankieta Ireny Dziedzic 21.30 Panorama dnia 21.50 „Mado” — film fab. prod. francuskiej, reż. Claude Sautet, wyk.: Michel Piccoli, Ottavia Piccolo, Jacques Dutronc, Charles Denner 24.00 Komentarz dnia

SOBOTA

21 STYCZANIA

Program I

8.00 Tydzień na działce 8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny 8.55 Program dnia 9.00 Kino najmłodszych „Królowa Śniegu” — film fab. prod. ZSRR 10.30 DT — wiadomości 10.40 Stare, nowe, najnowsze 11.25 Wędrowki dalekie i bliskie: „Tajemnice jeziora Neuchâtel” — film dok. prod. szwajcarskiej 13.05 Telewizyjny Teatr Prozy: Kornel Makuszyński — „Duet”, reż. Jerzy Antczak, 14.40 Do trzech razy sztuka — program rozrywkowy 15.10 Komedie, komedie, komedie: „Miś” — film prod. polskiej, reż. Stanisław Bareja 17.05 Losowanie Dużego Lotka 17.15 Teleexpress 17.30 Studio Sport: ME w jeździe figurowej na lodzie 18.30 Butik 19.00 Dobranoc: Wielka podróż Bolka i Lolka 19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Poczta zoo 19.30 Dziennik tv 20.05 „Ostatni wojownik” — film fab. prod. USA, reż. Carol Reed; wyk.: Anthony Quinn, Claude Akins, Tony Bill, Shelley Winters 21.50 Telewizyjny przegląd sportowy 22.10 Julio Iglesias: „Wszystkim, które niegdys kochałem” (2) — program rozrywkowy 23.00 DT — wiadomości 23.15 — 1.05 Kino sensacji: „Powrót Sabaty” — film fab. prod. hiszpańskiej

Program II

14.55 Powitanie 15.00 „Opowieść o warudzie” (2) — film przyrodniczy prod. ang. 15.30 Spektrum — nowości nauki i techniki 15.45 „Prapoczątki” (1) — film dok. prod. ang. 16.15 Meandry architektury: Dachy nad głową 16.35 „Prapoczątki” (2) — film dok. prod. ang. 17.10 W kręgu kina: „Bohaterowie i ich partnerzy — Indiana Jones” — film dok. prod. USA 18.00 Panorama Lubelska 18.30 Godzina z Aleksandrą Śląską 19.30 Alfa i omega: Jak ośiodłać wiatr. 20.00 Międzynarodowy Festi-

wał Oratoryjno-Kantatowy „Wratlavia Cantans”: Koncert muzyki cerkiewnej 21.00 Wokół górskich schronisk: Dom nad obłokami 21.30 Panorama dnia 21.45 Ankieta Ireny Dziedzic 21.50 „Roanoak” (3) — serial prod. ang. 22.40 Komentarz dnia 22.45—23.15 „W labiryncie” — odc. pt. „Gdzie jest lancet” (powt.).

NIEDZIELA

22 STYCZANIA

Program I

7.15 Program dnia 7.20 Wszelchnia rodziny wiejskiej 7.45 Po gospodarstwu — magazyn spraw wiejskich 8.15 Tydzień — magazyn rolniczy 9.00 Dla młodych widzów: Teleranek, a w nim „Szwajcarscy Robinsonowie” (14) — serial przygodowy prod. kanadyjskiej 10.30 DT — wiadomości 10.35 „Najstarszy testament” odc. 1 pt. „Szata” — film dok. Stanisława Szwarc-Bronikowskiego 11.10 Teatr Młodego Widza: Danuta Wawilow — „Dzikie konie” 12.20 Kraj za miastem 12.40 Telewizyjny koncert życzeń 13.25 „W kamiennym kręgu” (58—59) — serial prod. brazylijskiej 15.30 ME w jeździe figurowej na lodzie — pokazy mistrzów 17.30 Teleexpress 17.45 Morze — program publicystyczny 18.05 Od Picadora do Zaleszczyk 18.40 Antena 19.00 Wieczorynka: Smurfy 19.30 Dziennik tv 20.05 „Tylko Manhattan” (3) — serial prod. USA 21.00 Sportowa niedziela 22.00 Siedem dni na świecie 22.10 „Magdalena z Kossaków” (5); „Pierwszy ślub”. Reż. Krystyna Szner. W roli gł. Anna Seniuk 22.30 Telewizyjny film dok. „Świat według Sutora”. 23.05 Wyniki Totalizatora Sportowego 23.10 DT — wiadomości 23.15 Jutro w programie

Program II

9.20 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących 9.55 „Tylko Manhattan” (3) — serial prod. USA (dla niesłyszących) 10.50 „Tobruk. Żołnierski obowiązek” — wojkowy film dok. 11.30 Lokalny koncert życzeń 11.55 Jutro poniedziałek — magazyn spraw codziennych 12.15 Powitanie 12.20 Kino familijne: „Autostrada do nieba” (7) — serial przygodowy prod. USA 13.10 100 pytań do... 13.50 „Polacy” — film dok. 14.40 Podróż w czasie i przestrzeni: „Pierwszy rejs” — odc. 1 pt. „Powstanie ogrodu” — film dok. prod. ang. 15.35 Tourné WOSPRTV 16.05 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina 16.20 Kalejdoskop filmowy „Kino-Okno” 17.15 Aktualności kulturalne — Geatano Donizetti: „Napój miłośni” (premiera Wrocław 1988). Reż. Giovanni Pampiglione 17.30 Blżej świata — przegląd telewizji satelitarnych 19.00 Wywiady Ireny Dziedzic 19.30 Galeria Dwójki: Zbigniew Szczepanek (malarz)

20.00 Studio sport: Pilka w grze. 21.00 Polskie skrzydła — reportaż 21.30 Panorama dnia 21.45 Ankieta Ireny Dziedzic 21.50 „Dyrektorzy” — odc. 3 „Spadająca gwiazda” — serial TVP. Reż. Zbigniew Chmielewski 23.15 Komentarz dnia

PONIEDZIAŁEK

23 STYCZANIA

Program I

16.00 Program dnia i DT — wiadomości 16.05 „36 godzin dramatycznej walki” — film dok. 16.25 LUZ — program nastolatków 17.15 Teleexpress 17.30 Reklama z prezentami 17.40 Echa stadionów 18.30 Laboratorium: Zwirowany świat 18.50 Dobranoc: Urodziny babci 19.00 10 minut 19.10 Telereporter 19.30 Dziennik tv 20.05 Teatr Telewizyjny na świecie — William Szekspir: „Troilus i Kressyda” — spektakl telewizyjny ang. 23.15 DT — echa dnia 23.35 Język niemiecki (12)

Program II

16.55 Język niemiecki (12) 17.25 Program dnia 17.30 Antena 2 na najbliższy tydzień 17.45 „Ojczyzna — polszczyzna”: Nazwy miejscowe polszczyzny 18.00 Program lokalny 18.30 Czarno na białym, czyli przegląd polskich kronik filmowych 19.10 Teletrans 19.30 Życie muzyczne: Płocicie spotkania przyjacieli 20.00 Teleturniej: Spotkanie z Kalinka 20.40 Uwaga, dokument 21.15 Rozmowy o cierpieniu 21.30 Panorama dnia 21.45 Ankieta Ireny Dziedzic 21.50 Biografie: „Piodor Dostojewski” — film dok. prod. ang. 22.50 Komentarz dnia 22.55 Studio warszawskich spotkań teatralnych

WTOREK

24 STYCZANIA

Program I

8.35 Domator: Rady na życie: Mieszkanie z pomysłem — strychy (9) 8.50 Domowe przedszkole 9.15 DT — wiadomości 9.25 DT — dodatek gospodarczy 9.40 „Biała wzytówka” — odc. 4 pt. „Spółka Ruberg” — serial prod. TVP 10.35 Domator: Rady na życie 15.30 Kim być? — program dla maturzystów 16.00 Program dnia i DT — wiadomości 16.05 Gazeta rolnicza 16.25 Dla dzieci: Tuk-Tak, a w nim „Cudowna podróż” (19) — serial prod. austriackiej 17.15 Teleexpress 17.30 „Tajemniczy pan Duvallier” (1): „Rozróżba za gotówkę” — serial prod. franc. 18.30 Klinika zdrowego człowieka 18.50 Dobranoc: Śniegowe skrzaty 19.00 10 minut 19.10 Kram — magazyn konsumenta 19.30 Dziennik tv 20.05 „Biała wzytówka” — odc. 4 pt. „Spółka Ruberg” — serial TVP Reż. Filip Bajon. 21.00 Konferencja prasowa rzecznika rządu

21.25 Prezentacje artystyczne — Estrada '88 22.00 Socjalizm tak, ale jaki? — III spotkanie z prof. Marianem Orzechowskim 22.35 DT — echa dnia 22.55 Język angielski (12)

Program II

16.55 Język angielski (12) 17.25 Program dnia 17.30 „Wielka epoka” (4) — serial dok. prod. włoskiej 18.00 Program lokalny 18.30 „Wiek niepewności” — odc. 13 pt. „Weekend w Vermont” — ostatni odcinek serialu prod. angielsko-kanadyjsko-amerykańskiej 19.15 Wernisz Czesława Czaplńskiego w Zachęcie 19.30 Kolorowy zwrot głowy 20.00 Non stop kolor: Sting 21.00 W cieniu historii 21.30 Panorama dnia 21.45 Ankieta Ireny Dziedzic

21.50 Adaptacja opowiadań Guy de Maupassanta: „Dziecko” — film fab. prod. francuskiej 22.55 Komentarz dnia 23.00 Studio warszawskich spotkań teatralnych

ŚRODA

25 STYCZANIA

Program I

8.35 Domator: Nasza poczta; Szkoła dla rodziców 8.50 Domowe przedszkole 9.15 DT — wiadomości 9.25 „Samo życie” — film fab. prod. kubańskiej 11.00 Domator: Przyjemne z pożytecznym 11.50 Program dnia i DT — wiadomości 15.55 Losowanie Express i Super Lotka 16.05 „Bariery” 16.25 Dla młodych widzów: Latający holender — Klub Zdobyców Oceanów 16.50 „Cojak” — teleturniej 17.15 Teleexpress 17.30 Spojrzenia — program publicystyczny 18.00 Z Polski rodem — magazyn polonijny 18.20 Dawniej niż wczoraj: Archiwum XX wieku 18.50 Dobranoc: Miś Uszak 19.00 Czy to się może udać? — program publicystyczny 19.30 Dziennik tv 20.05 Zwierciadło czasu: „Plumbum, czyli niebezpieczna gra” — film prod. radz. 21.40 Klub międzynarodowy 22.10 Telewizyjny informator wydawniczy 22.25 Rozmyślenia prof. Mariana Stepnia 22.35 DT — echa dnia

Program II

16.55 Język rosyjski (13) 17.25 Program dnia 17.30 Skojarzenia — teleturniej 18.00 Panorama Lubelska 18.30 Ze wszystkich stron — magazyn reporterów 18.55 „Polacy”: „Zawód — Szymon Kobylński” — film dok. Wiesław Krajewskiej 19.30 Indie — program dokumentalny 20.00 Klucz do nowej muzyki — o twórczości Andrzeja Dudkiewicza 21.00 Gruzja — znaki czasu — reportaż 21.30 Panorama dnia 21.45 Ankieta Ireny Dziedzic 21.50 „70 zgłoś się” — odc. 4 pt. „300 000 w nowych banknotach” — serial kryminalny TVP 22.35 997 — kronika kryminalna 23.35 Komentarz dnia 23.40 Studio warszawskich spotkań teatralnych

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzieciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluczuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stepien (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska. Korespondentką z wyjątkiem prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.

ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-020 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 233-88 (dział). Korespondencje z wyjątkiem prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.

WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.

DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa-Książka-Ruch” i urzędy pocztowe.

Nr indeksu: 37409. Zam. 59. 6.01.89. B-4.

JAKOŚ tak pośród lata ubiegłego roku byłem na Wileńszczyźnie, towarzysząc Lubelskiemu Chórowi Kameralnemu „Canzona”, który oddawał się tam intensywnym czynnościom artystycznym, międzynarodowym, braterskim, siestrzanym i innym. Przedsięwzięcie było mordercze — dwa, trzy koncerty dziennie plus odwiedzanie miejsc i środowisk polskiemu sercu bliskich. I tak przeszło tydzień. Pod koniec tej, radosnej przeleź, młotki niektórzy chórzycy padali niemal na bieżce, bądź co bądź narzędzia ich artystycznej pracy.

W każdym razie pojechali, zaśpiewali i wrócili co do jednego, a ja razem z nimi — nikt nie pozostał, choć krajina piękna, schludnie utrzymana, szosy gładkie jak stolnica, mięso bez kartek i (przeważnie) jest, zło to tanie i wtedy jeszcze nie chowane przed Polakami z Korony, tylko wódki, cholera, nie ma, a ponadto czegoś zał...

Minał miesiąc lub trzy, a ja nic — nie piszę: że odbyło się, odpiewało się, pani Danusia to, pan Zdzisław tamto, pan Daniel śmie, he-he-he. Taki „haft” został zresztą koniec końców wypuszczony przez pewną panią w pewnej gazecie lubelskiej. Ale ja nic. Więc artyści: niech ja zwracam pieniądze, które lubelski sponsor chóru dopłacił do mojego pobytu na Wileńszczyźnie. Wtedy ja: proszę bardzo, ile, kiedy i jak — na centrum zdrowia polskiego chórzysty czy przelewem na gardła „Canzony”?

W tak zwanym międzyczasie otrzymałem od chóru powiadkę, w której napisano, iż członkowie „wyrażają niżej swoim ubolewaniem z powodu niedotrzymania przez Obywatela składanych deklaracji, dotyczących napisania cyklu artykułów o naszym tournée koncertowym po Litewskiej Socjalistycznej Republice”. I jeszcze, że zapraszają „Obywatela do spotkania z Zespołem w dniu 7 listopada 1988 r. o godz. 18.30. Lublin, ul. Krzywa 6, III piętro. Od wyników tego spotkania uzależniamy nasze dalsze postępowanie”.

Ala ja nic, ponieważ zdecydowałem, że nawet chórzystom kameralnym nie

będę objaśniał tak zwanych zawiłych meandrów mojego życia zawodowego w ostatnim półroczu.

Piszę w wszystkim w tygodniku wschodnim, ponieważ sprawa ta zdaje się wschodnią być, a także piszę dlatego, iż na świecie istnieje za mało pokory. cnoty najtrudniejszej.

W każdym razie wynikałoby, że jestem ścigany przez chór, i to poniekąd słusznie. Szczęście całe owo zamieszanie nie warło nawet ulamka tego wzruszenia, jakie budzi „Rota”, zaśpiewana przez chór z Polski przed obrazem Madonny w Kaplicy Ostrobramskiej. A również „Rota”, zaśpiewana przez chór z Polski przy grobie na Rosie, w którym spoczywa Matka i Serce Syna.

Wreszcie „Rota”, „Ave Maria”, „Gau-de Mater Polonia”, „Pożegnanie Ojczyzny” — zaśpiewane przez chór z Polski na estradzie domu kultury w Mejszagołe. A nad estradą hasło, głoszące wielkimi bukami po rosyjsku i litewsku, że: „Leninizm — sztyndarem naszej epoki!”. Zaś na wypełnionej niżej, obok przewodniczącego lokalnej administracji (Polaka) i dyrektora tu-tejszej szkoły (Polaka), miejscowy ksiądz prałat — Polak (trzydziestyczne miasteczko ma 65 proc. ludności polskiej). I wreszcie wizyta chóru w pobliskim kościele, gdzie gospodarzy i celebryje 82-letni ksiądz prałat i gdzie na powitanie tutejsze dzieciaki odpiewują nam taki oto tekst:

My jesteśmy chrześcijanie,
Bóg prowadzi nas przez życie.
My jesteśmy Polakami,
Bóg prowadzi nas przez życie.
My jesteśmy mejszagołanie,
Bóg prowadzi nas przez życie...

Lubelski chórzycy pojechali na Wileńszczyznę nie tylko z repertuarem — że tak powiem — polsko-narcdowo-religijnym, chociaż on właśnie miał największe wzięcie wśród Polaków tam żyjących, którzy, widać, zlaknieni są tego „opium”, bo ono krzepi ich serca. Czy krzepi również serca Litwinów — to inna sprawa. W każdym razie po raz pierwszy w życiu usłyszałem w polskim kościele oklaski i „Sto lat”, odpiewane przez wdzięcznych rodaków, żyjących w Wilnie — swojej małej ojczyźnie.



...w którym spoczywa Matka i Serce Syna.

Fot. Archiwum

Maciej Podgórski

KUCHNIA MAŁOPOLSKA

SUGESTYWIZM

NIE pamiętam wprawdzie tych czasów zbyt dobrze, ale wydaje mi się, że na początku lat pięćdziesiątych, kiedy tzw. kult jednostki osiągnął szczyt, a religia państwowa była wiara w Stalina, słowo: stalinizm w ogóle jeszcze nie istniało. Faktem jest, że negatywny ciąg skojarzeń: trockizm — anarchizm — maoizm — terroryzm, dostatecznie uzasadniał brak w słowniku lat pięćdziesiątych stalinizmu, pamiętając jednak wypadki, że pejoratywne zabarwienie większości owych „izmów” to sprawa późniejsza, a ponadto w owym czasie zalecanym do użytku był raczej zestaw: marksizm-leninizm. W tym zaś kontekście brak pojęcia stalinizmu dość jaskrawo rzuca się w oczy.

Oczywiście na nieukształtowanie się podówczas terminu: stalinizm wpłynęła przede wszystkim skokieteryjna skromność, a właściwie hipokryzja Stalina, który głosił, iż jest leninistą, jedynym prawdziwym zresztą. Gdyby określenie: stalinizm powstało było przed czterdziestu laty — prawdopodobnie dziś, przy opisywaniu draństw tamtego okresu, myślibyśmy się, stosując mniej pojemne i uniwersalne pojęcia, jak: okres błędów i wypaczeń czy też okres kultu jednostki. Termin: stalinizm zazerzywanym byłby bowiem dla kierunku ideologicznego; że błędne, to inna sprawa, ale jednak. Na szczęście chyłty Gruzin w tym przypadku przechrzył, nie „zwnił” (jak mawiają cenzorzy) w porę nazwy nowego kierunku filozoficznego i w ten sposób podarował naszym współczesnym wygodne pojęcie, słowo-klucz albo nawet słowo-wytrych.

Dziś, kiedy mowa o stalinizmie, spodziewać się więc można zarówno opowieści o kazamatach dla „odchylenców” prawicowo-nacjonalistycznych, jak i dramatycznego opisu ucisku, którego doznawał na co dzień, powiedzmy, przeciętny polski gajowy. Nie chcę bynajmniej w ten sposób drwić z autentycznych krzywd, nie przeczę, iż mierząc rzecz dzisiejszymi kryteriami, czasy były faktycznie okropne. Niemniej bardzo często cisnę mi się na usta pytanie: ilu z tych, pomstujących dziś na stalinizm, było wówczas uciskanych i represjonowanych, a ilu z nich samemu, „chcący” czy niechcący, represje praktycznie wspierało i uczestniczyło w uciskaniu?

Jak zawodna jest ludzka pamięć, jak wybiórczo fraktuje fakty i jak relatywnie je ocenia, przekonałem się niedawno, gdy przy sprzyjającej temu okazji napaźnięty zostałem z furją przez pewnego dyrektora. Dając upust swojemu zagniewaniu, dyrektor ów zarzucił mi właśnie „stalinowskie metody”, gdyż przed laty osmieliłem się... wytknąć mu, że administrowany przez jego zakład budynek mieszkalny jest nieoświetlony. Natomiast dziwnie jakoś z pojęciem stalinizmu nie skojarzyło się dyrektorowi na przykład to, że przez kilkadziesiąt lat z mandatu (stalinowskiej także) władzy szarogęsił się w zakładzie jak we własnym folwarku, a i nadal miewa kłopoty z odróżnieniem własności społecznej od prywatnej.

Nadużywanie hasła: stalinizm do uproszczonego objaśniania skomplikowanej rzeczywistości jest wynikiem ogólnej skłonności do etykietowania ludzi i zjawisk. Dość często służy to organizowaniu sobie moralnego alibi na przeszłość i komfortu psychicznego na dziś. Owo poprawianie sobie samopoczucia bywa, niestety, konieczne w celu (jak określa to psychologia) redukcji dysonansu poznawczego, który w przybliżeniu polega na tym, że co innego się widzi i słyszy, a co innego czuje. Takie rozszczepienie obrazu rzeczywistości odbiera człowiekowi spokój, męczy go, napina i w rezultacie powoduje, że chętnie sięga on po jakiś środek uśmierzający. Którym dość często bywa właśnie „magiczne” słowo, uniwersalny argument, usprawiedliwiający położenie i postawę zainteresowanego.

Realnie istniejąca rzeczywistość tworzy wciąż sporo dysonansów poznawczych. Z czasem zyskują one historyczne etykiety i w ten właśnie sposób po okresie stalinizmu nastąpiła gomulkowszczyzna, po niej zaś epoka propagandy sukcesu lub okres jedności moralno-politycznej narodu. Zjawisko, które spostrzegam obecnie, a które wydaje się pasować do definicji dysonansu, to reformy czynione tu i ówdzie „pro forma”, naskórkowo i pozornie, bez wnikiwania w istotę sprawy. Te pozorne ruchy to niekiedy coś takiego jak na przykład chęć skierowania czy wyznaczenia do opozycji najbardziej zaufanych towarzyszy albo zbudowania mostu w bezręcznej okolicy, aby formalnie zrealizować ogólny program. W rezultacie takiego postępowania wszystko zostaje po starciu, a pewne ożywienie wprowadza tylko silna sugestia, że dokonano się radykalnych pozytywnych zmian.

Mam niejakie obawy, aby za kilkanaście lat nie przyklejono do tej właśnie epoki etykiety z napisem: „okresu sugestywizmu”.

Janusz Malinowski

W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH:

CZY POLSCE POTRZEBNI SĄ EKONOMIŚCI?

MŁYN NAD CHODELKĄ UJAWNIA SWOJE TAJEMNICE.

JAK Z USA WIDAĆ POLSKI IDEALIZM I POLSKI REALIZM?

PEJZAŻ Z CIĘŻARÓWKĄ W TLE, CZYLI DZIEJÓW FSC WERSJA OSOBISTA.

CO PROFESOR ANTONI RAKIEWICZ SĄDZI O PLURALIZMIE?

ZNISZCZYĆ BADYLARZY!

CZY PREPARAT PROFESORA TOŁPY TO SZANSA W WALCE Z RAKIEM?

WYPIĆ CIOTKĘ — TO O PRZEDSTAWIENIU WEDŁUG OPOWIADANIA BOGDANA MADEJA.

CO SĄDZI EMIGRACYJNY TWÓRCA O PRZEKRACZANIU GRANIC I O TŁUMACZENIU DRAMATÓW KAROLA WOJTYŁY.

TEATR WYRZECZENIA. TO O „PROVISORIUM”.